



42

Rok XVI

(831)

CENA 1.50 ZŁ.

21.10.73



ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

RYSZARD BINKOWSKI

ŚPIEW ŻELAZA I ASTRY

Obok torów kolejowych wiedzie ułożona z wielkich płyt cementowych droga, którą już nikt nie jeździ. Nieliczne samochody przemykają drogą asfaltową, kilka metrów dalej; za pasem zwiędłych chwastów, wśród których uwijają się z furkotem chmary wróbli. Pod pełnym słońcem października chłop mozolnie bronuje pole. Za polem żółknące zagaje, sady. Górą je nad nimi łeb stalowego żurawia.

Z Dąbrowy odchodzi wieś. Przede mną wielkie hale, kominy, kolorowe pudełka baraków. To zakład elementów prefabrykowanych. Dopiero za nim jasny sześcian nowych ZAKŁADÓW MECHANICZNYCH IM. J. STRZELCZYKA.

(Dalszy ciąg na str. 6)

NASZE OSIĄGNIĘCIA, NASZE REZERWY

Na X plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej postanowiono zwołać w dniach 22–23 października 1973 roku I KRAJOWĄ KONFERENCJĘ PARTYJNĄ. Na tej konferencji referat pt. „O konsekwentną realizację Uchwały VI Zjazdu, o dalszy wzrost gospodarności” wygłosi I sekretarz KC – Edward Gierek oraz referat pt. „O wysoką dynamikę społeczno-ekonomicznego rozwoju Polski w latach 1974 – 1975” – premier Piotr Jaroszewicz. Po dyskusji nad tymi referatami I Krajowa Konferencja Partyjna przyjmie rezolucję, określającą kierunki naszego działania.

W bieżącym numerze „ODGŁOSÓW” publikujemy rozmowę z delegatami na I Krajową Konferencję Partyjną – II sekretarzem KŁ PZPR – KAZIMIERZEM ŁUKASZEWSKIM oraz ANTONIM DĄBROWĄ, JERZYM MADZIAŁĄ, ZDZISŁAWEM OW CZARKIEM, JANEM ROSIAKIEM, JÓZEFEM WIŚLICKIM.



W środku Polski

Z racji centralnego położenia województwa łódzkiego zwykło się je nazywać środkiem Polski. Używając tego pojęcia jako tytułu, chciałbym podkreślić znaczenie, jakie w przygotowaniu do I KRAJOWEJ KONFERENCJI PARTYPNEJ miały odbywające się we wszystkich województwach posiedzenia instancji partyjnych. „Trybuna Ludu” w sprawozdaniu z X PLENUM KC PZPR pisała:

„Z uznaniem należy podkreślić łączenie spraw regionu z celami ogólnego rozwoju kraju”.

Ta opinia odnosi się również do posiedzenia Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Łodzi. Stwierdził to w czasie obrad członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — Edward Babiuch.

Mówimy, że w wyniku uchwał VII i VIII Plenum KC PZPR wprowadziliśmy nową politykę społeczno-ekonomiczną i że ta polityka przyczyniła się do dynamicznego rozwoju gospodarki i innych dziedzin naszego ży-

cia. Myślę, że w wyniku tej polityki nastąpiła też zasadnicza zmiana w sposobie traktowania spraw regionu. Kiedyś każde województwo usiłowało uszczuplać coś dla siebie z ogólnej puli inwestycyjnej kraju. Chodziło głów-

nie o to, aby taką czy inną fabrykę mieć u siebie. Dziś — każde województwo stara się jak najczęściej dawać do ogólnokrajowej puli towarów, bo to się przede wszystkim liczy.

Z poróżu tylko różnica jest niewielka. W zasadzie wpływa decydująco na proces inwestycyjny. Musimy zrobić szybciej i lepiej, aby bardziej liczyć się w kraju, aby rósł nasz udział w ogólnokrajowej produkcji. I takie rozumowanie radykalnie zmienia pojęcie regionalizmu, zmienia nasz stosunek do tego, co robimy. Nie zadawala nas już proste wylczenie, ile mamy, jakim dysponujemy potencjałem. Staramy się odpowiedzieć na pytanie, jak ten potencjał wykorzystujemy, ile dajemy krajowi?

I właśnie troska o to była główną cechą dyskusji na ostatnim posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Łodzi. Przedstawiciel załogi Cementowni „Warta I” w Działoszynie — Zygmunt Drąbik nie chwalił się tym, co zrobili, ale z troską mówił o opóźnieniach występujących przy budowie Cementowni „Warta II”. Mówił o tym, że brakuje ludzi do pracy, sprzętu i urządzeń. Wiadomo przecież — kraj czeka na cement, a więc trzeba wyko-

zystać wszystkie możliwości, aby ten cement dać w terminie.

Centralnym problemem na dziś i jutro staje się wykorzystanie rezerw, tych możliwości, które pozwoliłyby na utrzymanie wysokiego tempa pracy, a także na jego dalsze przyspieszenie. O rozwiązywaniu problemów współczesności decydować będzie postęp, nie tylko w technice, technologii, ale również w myśleniu, a co za tym idzie — w organizacji i zarządzaniu.

„Coraz powszechniejsze przekonanie — stwierdza uchwała podjęta przez Komitet Wojewódzki PZPR w Łodzi — że problemem współczesnego patriotyzmu jest stosunek do pracy, do cenienia jej ludzkich, obywatelskich i moralnych wartości oraz osobista nietolerancja wobec wszystkiego, co narusza interes społeczny, hamuje nasz rozwój, wobec wszelkich przejawów łamania ładu, porządku i dyscypliny społecznej — stanowi rekoimie twórczej aktywności i zaangażowania ludzi pracy miast i wsi w dynamicznym urzeczywistnianiu programu rozwoju społeczno-gospodarczego kraju”.

Mówimy często, że potrzebny nam jest większy

wysiłek w realizowaniu zadań, jakie sami sobie postawiliśmy. A przecież chodzi nie tylko o to, abyśmy dobrze wykorzystywali czas naszej pracy i pracy maszyn, ale abyśmy nie marnowali tego czasu na czynności zbędne, formalnie tylko potrzebne, które są pozorem pracy, a nie samą pracą. Chodzi przede wszystkim o to, abyśmy wyteżali bardziej, niż mięśnie. Nie tyle uczyli się na błędach, ile myśleli o tym, jak błędów nie popełniać. Więcej uwagi zwracali na sprawy społeczne i polityczne wychowania nas wszystkich, uczyli się lepiej wykorzystywać ludzi twórczych, ich wiedzę i umiejętności. Mówił między innymi o tym w dyskusji na plenarnym posiedzeniu KW PZPR Jan Jankowski — I sekretarz KW PZPR w Fabryce Mebli im. Gwardii Ludowej w Radomsku, dzieląc się doświadczeniami własnej organizacji partyjnej.

„Udoskonalono formy i metody pracy instancji terenowych — stwierdził w referacie II sekretarz KW PZPR — Ludwik Maźnicki. — Więcej czasu i uwagi poświęca się na kontrolę i rozliczanie z podjętych uchwał i wniosków. Poważnie ograniczono ilość sprawozdań i

innych dokumentów. W dużym stopniu wyzbyliśmy się metod zastępowania i wyręczania administracji na rzecz wzmocnienia partyjnej kontroli. Wzrosła ranga zebrań partyjnych, na których obserwujemy coraz ostrzejszą krytykę marnotrawstwa, nieudolności i tego wszystkiego, co hamuje rytmiczne wykonywanie stojących przed nami zadań”.

Dalsze doskonalenie i umacnianie kierowniczej roli partii ma dla sprawnej realizacji przyjętych programów znaczenie podstawowe.

Komitet Wojewódzki PZPR w Łodzi dokonał wyboru 83 delegatów wojewódzkiej organizacji partyjnej na I Krajową Konferencję Partyjną.

W pierwszym punkcie obrad Komitet Wojewódzki PZPR w Łodzi zwołał — w związku z przejściem do pracy na odpowiedzialnym stanowisku państwowym — I sekretarza KW — Jerzego Muszyńskiego, dziękując mu za jego wieloletnią pracę partyjną na Ziemi Łódzkiej. I sekretarzem KW PZPR w Łodzi wybrano Zbigniewa Zielińskiego, dotychczasowego przewodniczącego Prezydium Warszawskiej RN.

LEON PITKIEWICZ

UZNANIE, SZACUNEK, ZAUFANIE

Od lat „Dzień Nauczyciela” jest świętem całego naszego społeczeństwa. Składane w tym dniu wyrazy uznania i szacunku ze strony władz partyjno-państwowych, rodziców i młodzieży, są zarówno dowodem uznania wielkiej rangi oświaty i nauki, lecz i także naturalnym i spontanicznym odruchem wdzięczności za poniesiony trud, za przyjętą przez stan nauczycielski odpowiedzialność.

Nauczycielskie święto w roku 1973 ma rangę szczególną. W 200-lecie Komisji Edukacji Narodowej Sejm podjął doniosłą uchwałę w sprawie dalszych perspektyw polskiej oświaty. W tym samym dniu kilkudziesięciopięcioletnia grupa zasłużonych pedagogów i wychowawców młodzieży spotkała się z Edwardem Gierkiem, Henrykiem Jabłońskim, Piotrem Jaroszewiczem. Na spotkaniu tym nadano tytuły: „Zasłużonego Nauczyciela PRL” — oraz wręczono państwowe odznaczenia.

Sejmową debatę, poświęconą sprawom oświaty otworzyło wystąpienie posła prof. Jana Szczepańskiego. Był on referentem dwóch sejmowych komisji: Oświaty i Wychowania oraz Nauki i Postępu Technicznego. Przedstawiając i uzasadniając projekt wniesionej pod obrady Sejmu uchwały w sprawie systemu edukacji narodowej, poseł J. Szczepański stwierdził, że zawarte w uchwale idee rysują kształt oświaty rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, stwarzają warunki pełnego rozwoju twórczych sił i osobowości każdego obywatela.

Program działania rządu w zakresie realizowania nowego modelu szkolnictwa przedstawił minister Oświaty i Wychowania Jerzy Kuberski.

„Zapewnienie realizacji założeń uchwały — powiedział minister J. Kuberski — wymagać będzie nade wszystko przygotowania wykwalifikowanych kadr nau-

czycielskich, rozbudowy sieci szkół średnich i zawodowych, nowoczesnej organizacji zarządzania oświatą”.

Podjęta 13 października uchwała sejmowa stanowi bilans ponad dwuletnich prac nad reformą oświaty w Polsce. Jest efektem inicjatyw partii, dorobku powołanego na wniosek Biura Politycznego KC komitetu ekspertów, podsumowaniem szerokiej dyskusji społecznej w której wzięło udział ponad 200 tysięcy nauczycieli.

Uchwała naszego ludowego parlamentu nawiązuje (nie tylko rocznicowo) do świątliwych i postępowych tradycji narodu polskiego. U jej podstaw jest dążenie do zapewnienia wszechstronnego rozwoju dorastającego pokolenia, do podwyższenia poziomu wykształcenia ogólnego i zawodowego społeczeństwa, do przygotowania wysoko kwalifikowanych kadr specjalistów dynamicznie rozwijającej się gospodarki narodowej.

Debaty poselskie stały się

rzeczowym i wszechstronnym przeglądem wszystkich węzłowych problemów oświaty w kraju. Posłowie zaprobowali przede wszystkim słusność tezy jaką przyjął komitet ekspertów w swoim raporcie o jedności szkoły i życia, kształcenia i pracy. Za istotne reformy uznano upowszechnienie wykształcenia średniego w nowej szkole 10-letniej. Zabierając głos na zakończenie debaty premier Piotr Jaroszewicz stwierdził, że wykształcenie i wychowanie młodego pokolenia Polaków jest pierwszym i najważniejszym zadaniem naszego ludowego państwa.

Socjalistyczna Polska po trzydziestu latach swego istnienia przekształcała się w kraj ludzi oświeconych, zajmując pod tym względem czołowe miejsce w Europie. W latach 1946—71 ponad 11 mln wychowanków opuściło szkoły podstawowe, ponad 1,5 miliona licea ogólnokształcące, ok. 3 miliony, szkoły zawodowe, 2 mln

technika i licea zawodowe, a ponad 600 tys. uczelnie wyższe.

Za te wielkie osiągnięcia na polu oświaty i wychowania Sejm PRL złożył wszystkim nauczycielom i pedagogom, wychowawcom i opiekunom, współdziałającym ze szkołą pracownikom nauki, działaczom państwowym i społecznym, członkom komitetów rodzicielskich i opiekuńczych, aktywnym ruchem młodzieżowym — słowa głębokiego uznania i podziękowania — wyrażając jednocześnie przekonanie, że ich wiedza i doświadczenie, energia i inicjatywa, stanowiąc będą gwarancje wypełniania nowych zadań.

Do zrobienia jest bardzo wiele. W przedszkolu, które jest pierwszym ogniwem edukacji, w gminnej szkole zbiorczej, która toruje drogę „dziesięcioletce” na wsi, na wyższej uczelni, kształcącej kadry dla oświaty,

Kształcenie dla rozwoju, wychowanie oparte na zasadach ideowych określonych przez VII Plenum KC — to procesy ciągłe. Od nauczycieli wszystkich szczebli zależy więc będzie nie tylko dziś i jutro szkolnictwa, ale w sensie ogólnym także materialny i duchowy rozwój naszej społeczności.

Uznanie, szacunek, zaufanie — jakie ujawniły się w każdym zakątku Polski w okazji nauczycielskiego święta — niech będą dowodem wdzięczności i gorącej chęci do dalszej ofiarnej pracy w imię świetności naszej ojczyzny.

ODGŁOSY

ZE ŚWIATA

- ▲ POWRÓT GENERALA
- ▲ DYMISJA SPIRO AGNEW
- ▲ ZAMACH NA PREZYDENTA-ARCYBISKUPA

Jest to swego rodzaju fenomen. Po 18 latach wygnania — powrót do władzy. Fakt ten wydarzył się 12 bm. w Argentynie, a jego bohaterem jest Juan Domingo Peron. Starcowi przywrócono także stopień generała, którego pozbawili go poprzednie władze. Jednocześnie trzecia żona Perona — Maria Estela Isabel Martinez — zasiadła na fotelu wiceprezydenta. Konstytucja argentyńska stwarza jej możliwość zostania głową państwa, gdyby Peron zmarł lub nie był w stanie wykonywać swoich obowiązków. A sytuacja taka jest możliwa zważywszy na wiek generała — 78 lat i seniorzy Mari Esteli — 40 lat.

Swoją popularność i karierę Juan Domingo Peron zawdzięcza jednak innej kobiecie — drugiej żonie: Evicie. Była to kobieta o niepospolitej urodzie, ogromnym talencie oratorskim i politycznym. Tak jak ona mało kto w Ameryce Południowej potrafił wykorzystywać tłumy bezrobotnych dla osiągnięcia wyznaczonych przez siebie celów, które nie zawsze były zgodne z dążeniami najbardziejnych Argentyńczyków. Trzeba jednak przyznać, że Evita i Peron wiele zrobili dla uniezależnienia kraju położonego nad Rio de la Plata od USA i podniesienia stopy życiowej przeciętnej Argentyńczyka. Ograniczono wpływ miejscowej oligarchii i wszechwładnego kościoła katolickiego, upaństwowiono banki, telekomunikację, rozpoczęto nacjonalizację bogactw narodowych, wprowadzono ubezpieczenia społeczne, zahamowano inflację, a doświadczenia, czyli ludzie bez kosztu (po prostu nie było ich na nie stać) otrzymali pra-

ęc. Poza tym został ograniczony wpływ wojska na życie ekonomiczno-polityczne państwa. Natomiast wzrosła rola związków zawodowych, które były główną ostopą prezydenta. Armia nigdy nie wybaczyła tego Peronowi. Dlatego przed 15 laty — po zamachu stanu — nie tylko pozbawiła go prezydentury ale także generalskich szlifów. Było to zaledwie kilka miesięcy po śmierci Evity. Zmarła ona na raka, w 32 roku życia. Ciało za balsamowano i złożono w okazałym mauzoleum. Prości zaś ludzie ogłosili ją świętą a olbrzymie terytorium Argentyny obstawili kapliczkami na jej cześć.

Do obalenia rządów Juana Domingo Perona bezpośrednio przyczyniło się wojsko, latyfundiści i kościół. Za nimi stały jednak amerykańskie monopole, które nie mogły pogodzić się z ograniczeniem ich grabieżczej działalności. Sam zamach poprzedziły jednak antyperonistyczne sabotaże i dywersja gospodarcza, która doprowadziła do inflacji.

Przez 18 lat pobytu byłego dyktatora w Paragwaju, Wenezeli i Hiszpanii nikt nie potrafił ustabilizować sytuacji w Buenos Aires — tym najbardziej europejskim z europejskich miast, choć leżącym na amerykańskim kontynencie. Do palacu Casa Rosada (siedziba prezydenta) wprowadzali się cywile i wojskowi. Nikt z nich długo tam nie zamieszkiwał. W kraju zaś trwał permanentny kryzys. Coraz częściej zaczęły więc odzywać się głosy wywołujące Perona do powrotu. Czas zatarł ujemne strony jego rządów, wystrzelił w pamięci to co w zakresie spraw społecznych i ubezpieczeniowych dla narodu uczynił.

We wrześniowych wyborach prezydenckich Juan Domingo Peron otrzymał 60 proc. głosów. 12 bm. składając przysięgę zapewnił, że wyprowadzi kraj z recesji gospodarczej i uniezależni od mocarstwa z północy, nawiąże wszechstronne kontakty z państwami socjalistycznymi.

W ostatnich dniach dużo mówiło się także o innym znanym polityku z za Oceanu — wiceprezydencie USA Spiro Agnew. Jest on autorem wielkiego skandalu finansowo-politycznego, który wybuchł 24 września. Opublikowane w prasie artykuły zarzucają mu pobieranie łapówek i kumoterstwo w okresie, kiedy był gubernatorem stanu Maryland.

Spiro Agnew publicznie zaprzeczł zarzutom pod swoim adresem, ale czynił wszystko, aby nie dopuścić do rozprawy

sądowej. Informacje o łapówkach pobieranych przez gubernatora przeciekły podobno z ministerstwa sprawiedliwości. Jedni sądzą, że szef tego resortu — Richardson — sam miał ochotę na urząd wiceprezydenta, inni zaś, iż działał z polecenia ewentualnych kandydatów do Białego Domu. Agnew bowiem wydawał się żelaznym faworytem w wyborach prezydenckich po odejściu Nixona, a więc za dwa lata.

Nowy wiceprezydent — Gerald R. Ford — ma znacznie mniejsze ambicje niż Spiro Agnew i nie wydaje się, żeby mógł do czasu nowych wyborów prezydenckich zdobyć sobie w społeczeństwie amerykańskim autorytet i popularność, które zagwarantowałyby mu jakiegokolwiek szanse wyborcze.

Spiro Agnew odszedł więc, wrócił do swych ulubionych zajęć — gry w golfa i uprawy ogrodnika. Jest jedną z pierwszych ofiar rozpoczynającej się bezwzględnej walki republikańskiej z demokratami o Białą Dom, kiedy wyprowadził się z niego Richard Nixon.

Mocne przeżycia nie oszczędziły również prezydenta Cypru arcybiskupa Makariosa. Przed kilku dniami usiłowało dokonać na jego osobę zamachu. Na szczęście bomba eksplodowała 5 minut za wcześniej. Schwytany przez służbę bezpieczeństwa 23-letni kelner — zamachowiec zeznał, że działał na polecenie gen. Griwasa. Była to już druga próba pozabawienia życia prezydenta Makariosa. Pierwszy raz griwasowcy usiłowali to uczynić w roku 1970.

Gen. Griwasa jest zwolennikiem enosis, czyli unii Cypru z Grecją. Natomiast Makarios uważa, że połączenie obu państw wywołałoby konflikt z Turcją, gdyż prawie połowa ludności cypryjskiej to Turcy. Byliby oni wówczas obywatelami drugiej kategorii.

Przed kilku laty — na skutek prowokacji griwasowców — doszło do krwawych starć między ludnością cypryjską i turecką wyspy. I tylko dzięki interwencji ONZ, której sily brojne przebywają do dziś na Cyprze oraz rozsądkowi arcybiskupa Makariosa konflikt zażegnano. Na jak długo? Tego nikt nie wie, junta wojskowa w Atenach nie zamierza bowiem zrzekać się roszczeń do wyspy i udziela zbrojnej oraz finansowej pomocy tajnej organizacji Griwasa.

MAREK REGEL



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

Każdego dnia myśleć o przyszłości

Z II sekretarzem Kł PZPR —

— KAZIMIERZEM ŁUKASZEWSKIM

rozmawia Lucjusz Włodkowski.

Program uchwalony na VI Zjeździe PZPR realizowany jest pomyślnie, a w niektórych dziedzinach ze znacznym wyprzedzeniem. Jest to wynik ofiarnej pracy całego narodu, wyzwolenia energii, inicjatywy, co stało się możliwe po uchwałach VII i VIII Plenum KC partii, kiedy to przyjęto linię polityki zgodną z uniwersalnymi prawidłami budownictwa socjalistycznego, zgodną z potrzebami i aspiracjami społeczeństwa. Pozwala to stawiać jeszcze wyższe zadania przed ludźmi pracy, takie, które przyczynią się do dalszego rozwoju kraju, do nadrobienia wielu opóźnień, a co za tym idzie — również — do szybszej poprawy warunków życia.

— Aby cel ten osiągnąć, trzeba szczególną uwagę zwracać na te wszystkie momenty w naszym życiu gospodarczym, które hamują postęp, zakłócają rytmiczny rozwój, wywołują napięcia w pracy poszczególnych jednostek gospodarczych i całych dziedzin gospodarki.

— Napięcia te wynikają przede wszystkim z braku harmonijnego rozwoju poszczególnych gałęzi gospodarki, działów i branż. Na przykład w budownictwie brakują nieraz podstawowych materiałów: stali, kruszywa, cementu. Napięcia te można eliminować przez nadrobienie opóźnień, przez takie kształtowanie polityki inwestycyjnej, które w swoich wynikach doprowadzi do harmonijnego rozwoju wszystkich dziedzin gospodarki.

— Jakie napięcia występują w realizacji programu rozwoju i modernizacji Łodzi?

— Wzrosło tempo przyrostu produkcji. W coraz większym stopniu ten przyrost produkcji pokrywany jest wydajnością pracy. I to są zjawiska pozytywne. Ale i tu występują zjawiska nieharmonijnego przyspieszenia tempa. Na przykład w ciągu ostatnich dwóch i pół lat produkcja globalna łódzkiego przemysłu wzrosła o około 27 proc., podczas gdy w przedsiębiorstwach niektórych branż przemysłu lekkiego wzrost ten nie przekracza 10 proc. I to nie pozwala nam jeszcze na zajęcie czołowej pozycji w dynamice wzrostu produkcji w kraju.

— Jakie są przyczyny tej dysharmonii?

— Przyczyny są dwojakie: obiektywne i subiektywne. Obiektywne, to wieloletnie opóźnienia, jakie powstały w rozwoju potencjału produkcyjnego przemysłu lekkiego. Dopiero teraz przemysł ten modernizuje się. Subiektywne natomiast, to stawianie przed sobą mało mobilizujących zadań. Nie zawsze jeszcze zjednoczenia i przedsiębiorstwa dopracowały się nowoczesnym koncepcjom rozwoju produkcji. Nie zawsze myśli się w sposób twórczy o sprawach bieżących i przyszłych. I nie zawsze koncentruje się uwagę na sprawach dla tego przemysłu zasadniczych.

— Czy podobne napięcia występują też przy realizacji programu inwestycyjnego Łodzi?

— W pierwszych latach bieżącej pięcioletki nakłady inwestycyjne w rosły skokami. Na przykład w 1971 roku wartość nakładów inwestycyjnych wzrosła w porównaniu do roku 1970 o 5,8 proc., ale już w 1972 roku — o 34 proc. i w tym roku — o 87,2 proc. Mimo to program inwestycyjny, choć nie we wszystkich dziedzinach, realizowany jest ze znacznym wyprzedzeniem. Budowę wodociągu Łódź — Sulejów skrócono o 19 miesięcy, „Dywilianu” — o 3 miesiące, „Polanilu” — o 2 mie-

siące. Charakterystyczne przy tym jest to, że realizacja dużych zadań inwestycyjnych przebiega znacznie sprawniej niż małych. Zadecydowało tu właściwe ustalenie bodźców finansowych, a także zmiana systemu myślenia, umiejętność widzenia nie tylko zadań na dziś, ale również — a może nawet przede wszystkim — na przyszłość.

— To chyba największe osiągnięcie — zmiana w sposobie myślenia, wyrobienie umiejętności widzenia bieżących zadań na tle przyszłości. Dla nas tu w Łodzi ma to decydujące znaczenie.

— W Łodzi najważniejszą sprawą jaka dokonana się w okresie po VII i VIII Plenum KC partii, to rozluźnienie w sposobach myślenia, jakie wytworzyło się u działaczy politycznych i gospodarczych. W Łodzi przez długie lata byliśmy przyzwyczajeni do wielkiego wysiłku. Był to nieraz wysiłek ponad nasze możliwości, ale jego efekty były małe, nie odpowiadały potrzebom w północności, nie dawały niezbędnego postępu w technice, technologii i organizacji. Wydawało nam się, że to, co jest musi nam wystarczyć, że małe udoskonalenie, to już wielki postęp. A ludzie nie mając możliwości tworzenia, zatracają inicjatywę, fantazję, popadają w rutynę.

— Czy jesteśmy już dostatecznie śmiały w stawianiu sobie zadań, w wiązaniu teraźniejszości z przyszłością?

— Przez ostatnie dwa i pół roku wiele zrobiono w Łodzi w tej dziedzinie. Ludzie stali się śmielsi, odważniejsi, wychodzą z koncepcjami. Część tych koncepcji realizujemy, część musi poczekać do lat następnych. Ale ludzie odczuli satysfakcję, jaką daje tworzenie. Zaczęli oceniać sytuację na świecie, porównywać, zmieniać własne koncepcje postępu.

Mieliśmy przecież niektóre inwestycje zaprogramowane w przeszłości. Wydawało się nam, że bardzo nowoczesnie, ale gdy przyszło do ich ponownej oceny już w oparciu o śmielsze spojrzenie, do konfrontacji z aktualną oceną zjawisk na świecie, okazało się, że można je poprawić. Teksturownię na Dąbrowie planowano na 7 tys. ton przedży teksturowanej, a teraz można będzie produkować 11 tys. ton. „Dywilian” przygotowywano do produkcji 1,5 mln m³ dywanów, a teraz można będzie produkować 2 mln m³.

A więc są już przykłady śmiałości, inicjatywy i pomysłowości w programowaniu. Potrzeba do tego również śmiałości w działaniu, konsekwencji w realizacji tych odważniejszych zamierzeń.

— Czy wszystkim udaje się taka zmiana myślenia?

— Większości ludziom to się udaje. Są jednak i tacy,

którzy nabrali takich przyzwyczajęń, tak zastali się w rozwoju, że nie potrafili zdobyć się na inne myślenie. Ale nikomu z tego powodu nie wolno zrobić krzywdy. Z drugiej strony, nie stać nas na to, aby jakiegokolwiek ogniu, które nie nadają za współczesnością, było utrzymane w zaistnieniu.

— To już sprawa polityki kadrowej.

— Trudna sprawa, budząca wiele nieporozumień. Ludziom trzeba pomagać. Trzeba stawiać przed nimi określone, na miarę współczesności zadania. Stwarzać warunki do realizacji tych zadań. I patrzeć, jak sobie radzą. Jeśli zadania te rozwiązuje pomyślnie, to znaczy, że zmieniają się, że zmieniają swój sposób myślenia. Jeśli nie, to nie wolno czekać, trzeba na ich miejsce stawiać ludzi śmielszych.

— Młodszych.

— Młodszych, ale sposobem myślenia. Są bowiem ludzie bardzo śmieli, mający ciekawe koncepcje, ale bez większego doświadczenia, którzy nie potrafili jeszcze kierować innymi. Są też tacy, którzy mają ciekawe propozycje technicznych rozwiązań, ale przy ich realizacji potrzebują pomocy. Są entuzjastami, ale brakuje im praktycznego doświadczenia. Trzeba u działaczy gospodarczych wyrabiać przekonanie, że tylko ci będą się liczyć, którzy chcą czegoś nowego, gotowi są ryzykować, bo tylko tacy gwarantują prawidłowy rozwój przedsiębiorstw.

— Koniec z myśleniem, że „jakoś to będzie”.

— Takie myślenie może zapewnić jeszcze powodzenie dziś, bo fabryka ma rezerwy, bo jeszcze idzie rzędem. Jeśli człowiek na tym p. przestanie, nie będzie pogłębiał swojej wiedzy i nie będzie się uczył od innych, to będzie miał w przyszłości kłopoty. I on i ta jednostka, którą kieruje. W przedsiębiorstwie nie można myśleć o wykonaniu planu, trzeba przede wszystkim myśleć tylko o wykonaniu planu, trzeba przede wszystkim myśleć o tym, co będzie jutro, o przyszłości. Jak, dziś podejmowane decyzje, opracowywane koncepcje, sprawdzają się w przyszłości, jaką stwórzą podstawę dla dalszego rozwoju przedsiębiorstwa, branży.

— Ale ludzie przytłaczani są nawalem spraw bieżących.

— I to jest niedobre. Kadra techniczna, której obowiązkem jest myślenie koncepcyjne, zajmuje się najczęściej administrowaniem. A przecież realizacja bieżących zadań to sprawa średniego personelu technicznego. Technologia opracowana, plan ustalony — za resztę odpowiada majster. Kierownictwo zakładu powinno zajmować się dalszym myśleniem koncepcyjnym, myśleniem o postępie.

— Daje tu o sobie znać wadliwa organizacja.

— To też, ale i stare przyzwyczajenia. Nie raz i nie dwa słyszy się sprawozdania różnych stowarzyszeń technicznych. Odbiliśmy tyle i tyle posiedzeń, narad, konferencji. Omówiliśmy sprawę gospodarki surowcowej, wykorzystania maszyn, kwalifikacji. No dobrze, ale co w wyniku tego zmieniło się w przemyśle, co wprowadzono nowego? Przecież o efektywności pracy rozstrzyga nie ilość posiedzeń, uchwał a nawet decyzji, a istotny postęp. Jeśli w wyniku tego działania zachodzi postęp, to działanie jest słuszne i pożyteczne, jeśli nie — to trzeba zaczynać od nowa.

— Jeśli już wspomnieliśmy o polityce kadrowej, to rodzi się kolejne pytanie, czy posiadamy dostateczną kadrę rezerwową i czy mamy sprawny system jej tworzenia?

— Jest to jeszcze słabe

ogniwo w naszym działaniu. — Na czym polega jego słabość?

— Wiele zrobiono już w tak zwanym typowaniu kadry kierowniczej. Ale czy jesteśmy do końca przekonani, że są to najlepsi ludzie? Nie zawsze. Nie ma tu jeszcze obiektywizacji tej oceny. Powiedziałbym, że w tej dziedzinie jesteśmy dopiero na początku drogi.

— W jakim kierunku powinniśmy pójść?

— Ludzie powinni mieć możliwość pokazania na co ich stać. I jeśli pokażą swoje możliwości, to trzeba to popularyzować, rozpowszechniać ich osiągnięcia. I tym, którzy się wyróżniają, pomagać w dalszym ich rozwoju. W tym może prosty przykład. Do fabryki włókienniczej przychodził tkacz po studiach. Szybko opanował to, co jest w zakładzie i szuka nowych rozwiązań. Trzeba więc pokazywać go innym jako dobrego inżyniera tkacza, a jednocześnie myśleć o tym, jak kształtować go jako działacza gospodarczego, uczyć patrzeć na przedsiębiorstwo, jako na całość, uczyć umiejętności kierowania ludźmi.

— Jest to przykład właściwie pojętej pracy wychowawczej.

— Tylko w ten sposób można dojść do stworzenia kadry rezerwowej. Pokazując jednostki najdosłowniejsze, ucząc ich działania nie tylko w ich wybranej specjalności, mo? tworzyć taki zespół ludzi, z którego będzie się wybierać najlepszych. Ale musimy mieć przekonanie, że to są ludzie najlepsi. Kiedy będziemy mieli takie przekonanie? Wtedy, kiedy będziemy śledzić, co oni robią, będziemy pokazywali ich i ich pracę, a więc kiedy będą oni pod kontrolą opinii społecznej, będą oceniani przez własne środowisko i przez innych specjalistów i kiedy będziemy ich angażowali do rozwiązywania różnych problemów nie tylko wiążących się z ich wąską specjalnością. W ten sposób poznamy człowieka, damy mu możliwość szerokiego działania i przygotowujemy go do obywatela w przyszłości kierowniczego stanowiska. To wszystko musi być robione świadomie. Musi to być polityka, prowadząca do rozwijania ludzi, kształcenia ich wiedzy i umiejętności działania organizacyjnego, politycznego, społecznego.

— W niektórych zespołach niechętnie jednak pokazuje się ludzi śmiałych, z inicjatywą. I trudno nawet temu dziwić się, bo przecież każdy nowy, zdolny człowiek może — w pojęciu niektórych osób — zagrażać ich pozycji, stanowisku. Z punktu widzenia tych ludzi jest to działanie zrozumiałe, ale z punktu widzenia społecznego — szkodliwe.

— Znajduje to odbicie w niektórych koncepcjach kształtowania kadry rezerwowej. Niektórzy mówią, że trzeba typować takich ludzi, którzy nadają się na naczelników dyrektorów, na dyrektora do spraw technicznych, administracyjnych i tak dalej. Ale jednocześnie nie mówią o tym nikomu, bo zaraz wytypowanym będzie się rzucać kłody pod nogi i nigdy nie awansują.

— A przecież nikt nie jest wieczny. Ludzie muszą się zmieniać i to jest proces naturalny, tylko u nas w tej dziedzinie nagromadziło się zbyt wiele nieporozumień.

— Trzeba kształtować takich kadrę polityczną, aby ludzie zdawali sobie sprawę, że wyróżniają się najlepszymi. A więc starać się być najlepszymi, angażować się we wszystkie sprawy, pokażać, co umiesz i na ile cię stać. Jest to szlachetna rywalizacja. Jeśli natomiast dzieje się tak, że człowiek nie wie, dlaczego jest wyróżniany, lub dlaczego jest pomijany, to taki klimat szkodzi po-

stepowi, hamuje rozwój i ludzi i przedsiębiorstw i instytucji.

Dobry dyrektor przedsiębiorstwa powinien starać się stwarzać taki klimat, aby wszyscy czuli potrzebę myślenia o tym, co robią i o tym, jaki będzie rozwój ich zakładu pracy.

— I nie bać się przygotowywać sobie następców.

— Mądry kierownik musi mieć mądry zespół ludzi i musi umieć ich docenić. Człowiek nie zawsze chce mieć władzę, ale chce być doceniany. Trzeba ludzi doceniać. A doceniać ludzi, to ich pokazywać, chwalić się nimi. Poddawać ich pracę pod publiczny osąd.

Trzeba w tych sprawach postępować w sposób naturalny. Wiadomo, że każdy człowiek ma twórczy okres w swoim życiu i okres, kiedy następuje osłabienie tempa pracy. Trzeba zatem wykorzystywać ludzi w ich najlepszym okresie, wykorzystywać i twórczy kapitał dla dobra rozwoju społecznego, kiedy to mija, dziękować im za wielki wkład pracy i kierować na takie stanowiska, gdzie można wykorzystać ich wielkie doświadczenie. I nie lekceważyć takich ludzi. Tego też musimy się jeszcze ucząć.

— Właściwe przygotowanie kadry rezerwowej to też myślenie o przyszłości, to nie tylko rozwiązywanie kłopotów dzisiejszych. Ludzie dobrze przygotowani do działania będą mogli łatwiej pokonywać i rozwiązywać problemy jutra.

— Myślenie o przyszłości jest podstawą wszelkiego twórczego myślenia. Mamy kłopoty z przemysłem lekarskim. Dlaczego? Dlatego, że w przeszłości nie myśleliśmy o zadaniach lat następnych, a zadawaliśmy się tym, co mamy. Mamy kłopoty z budownictwem. Dlaczego? Bo na czas nie myśleliśmy o zadaniach lat następnych. Dziś nie wolno nam myśleć tylko o tym, co będziemy robili w 1974 roku, ale musimy już teraz przygotowywać się do zadań, które podejmiemy w latach następnych i stwarzać warunki dla ich realizacji.

Obecnie powstał sprzyjający klimat dla takiego właśnie, twórczego myślenia, dla myślenia o przyszłości. Plan pięcioletni realizujemy, ale kończy się jednocześnie opracowywanie następnej pięcioletki. Jednocześnie pracuje się nad założeniami planu do 1990 roku. I równoległe rozpoczął pracę komitet ekspertów, który zajmuje się już rokiem 2000. Taki sam klimat, może nie w takiej skali, powinien kształtować się w przedsiębiorstwach. Rozwiązując wszystkie problemy na dziś, trzeba myśleć o jutrze, bo jutro rozwiązując problemy bieżące, trzeba będzie myśleć o pojutrze. A więc nasze myślenie dzisiaj musi przygotować podstawę dla przyszłych rozwiązań.

— Wiele jeszcze musimy się nauczyć w tej dziedzinie. Przykładem tego mogą być licencje. Kupujemy zagraniczne licencje, bo taka jest konieczność, bo lepiej jest skorzystać z cudzej myśli technicznej, aby nadrobić opóźnienia, zamiast marnotrawić czas na odkrywanie rzeczy już gdzieś indziej odkrytych, rozwiązanych i opatentowanych. Ale też jest to dopiero początek działania. Kupiona licencja powinna stać się podstawą dla własnych ulepszeń, dla oryginalnych rozwiązań, dla dokonania skoku w technice. A przecież nie zawsze tak się dzieje.

— Jeśli chcemy mieć korzyść z kupionej licencji, to musimy wnieść do niej własną, oryginalną, polską myśl techniczną. Jeśli potrafimy kupić licencję rozwinąć twórczo, to tym samym udawdamy, że jesteśmy



dr Kazimierz Łukaszewski

przygotowani do zajęcia wyższego miejsca w ogólnoswiatowym rozwoju technicznym. Jeśli tego nie potrafimy, to oznacza, że żyjemy niejako z cudzego, że jeszcze nie potrafimy sami uczestniczyć w światowym postępie.

Kupno licencji nie jest sprawą tak prostą. Zdarzało się bowiem i tak, że licencję kupiono, a zakład nie przygotował się nawet do jej wprowadzenia. Tak było w „Wifamie”, „Foni”. Inaczej do problemu podeszli w „Wizamecie”. Licencję potraktowano tam jako możliwość wyrównania do określonego poziomu techniki. A jednocześnie zastanowiono się nad tym, jak osiągnąć poziom wykorzystania dla dalszych udoskoleń, dla dalszych poszukiwań — już własnych. Przemysł maszyn włókienniczych, przemysł włókien sztucznych — mimo wielu cennych własnych poszukiwań — licencje potraktował w sposób stereotypowy. Nie zatroszczone się we właściwym czasie o dalsze udoskonalenie tego, co zakupiono.

— Są to przykłady wskazujące na brak perspektywicznego myślenia.

— Tak, ale jest to stopniowo przezwyciężane. I ten proces musi nieuchronnie postępować, jeśli chcemy znaleźć się w głównym nurcie rewolucji naukowo-technicznej.

— Ale proces nowego, perspektywicznego myślenia musi też dotyczyć obejmować działaczy partyjnych.

— Oczywiście. Organizacje partyjne są inspiratorami tego wszystkiego, co nowe i twórcze. Zgadza się z tym, że działacze partyjni nie mogą zajmować się tylko sprawami bieżącymi, ale muszą również myśleć o przyszłości, wychowywać ludzi dla tej przyszłości.

Działacze partyjni, żeby móc wywiązać się ze swego działania musi obok tworzenia koncepcji, utrzymywać stały kontakt ze społecznością, którą kieruje. Musi mieć stały kontakt z członkami i kandydatami partii, bezpartyjnymi, działaczami gospodarczymi. Ten kontakt pozwala mu na przekonanie jego własnych przemysłów, na szukanie najlepszych sposobów realizacji stawianych przed nim zadań. Dzięki takim kontaktom ludzie go poznają, podzielają jego poglądy lub z nim dyskutują, a dla niego stwarza to możliwość jeszcze większego angażowania się. Stwarza to mu możliwość utrzymania równowagi między tym, co tworzy, tym, co jest już zrealizowane, tym, co by chciał, a tym, co jest i tym, co będzie. Pozwala mu to na stały sprawniejszy, czy w swoich koncepcjach jest twórczy. A przecież to jest najważniejsze. I to dotyczy działaczy partyjnych i wszystkich



Fot. W. Parys

Ten dom, w którym teraz siedzę i rozmawiam, pamięta jeszcze czasy przedwojennego, mieszczańskiego blichtru, drewnianych przytuł dla eksmitowanych, wzniesionych w poplochu przez magistrat, Mani-Lasku, do którego ciągnęły wyprawy podwórkowe z łódzkich przedmieść, by pograć na harmonii i wypić „szczeniaka” albo dwa. Pamięta okres, w którym fabrykanci łódzcy składali się na pierwszą w mieście bibliotekę publiczną, żeby broń boże nikt nie pomyślał, że fabrykantom kultura jest obca.

Człowiek z którym rozmawiam, „rządzi” kulturą całej dzielnicy. Jego obecną pracę poprzedziły staże i doświadczenia w innych instytucjach, innych dziedzinach. Był nawet już po studiach w... więzieniu, gdzie pełnił obowiązki wychowawcy, był socjologiem w przemyśle, gdzie próbował odpowiedzieć na pytania dręczące administrację fabryczną. Nie dało mu to jednak satysfakcji, jeśli znalazł się tutaj na czwartym piętrze wielkiego gmachu pochodzącego z okresu mieszczańskiego blichtru i rażących sprzeczności.

— A niech pan mi powie — zaczynam — za co taki człowiek jak pan odpowiada na tym stanowisku?

Poszukał w szufladach biurka, aby odpowiedzieć na to pytanie.

— Tu wszystko jest napisane: za planowanie rozwoju kultury w dzielnicy, popieranie i inspirowanie działalności kulturalnej i oświatowej w placówkach dzielnicowych, wydaję zezwolenia na imprezy kulturalne i artystyczne, opiniuję zabawy połączone z programem artystycznym, organizuję imprezy w dzielnicy, przyjmuję skargi i wnioski na temat działalności kulturalnej (w ubiegłym roku wpłynęło tylko jedno zażalenie — na zespół świetlicowy, który zakłócał spokój mieszkańcom pewnego bloku), koordynuję, wizytuję, hospituje...

— To ogrom roboty, musi pan mieć chyba cały sztab fachowców do pomocy?

— Pracujemy w piątkę, z tym, że ostatnio doszły jeszcze sprawy sportu i wycho-

wania pozaszkolnego, a więc obowiązki powiększyły się ponad to, co panu wyczytałem. A tu w dzielnicy mamy 70 zakładów pracy, każdy z nich ma swe ambicje w dziedzinie pracy kulturalno-oświatowej, więc i do tych zakładów wypadłoby dotrzeć, jeśli ma się odpowiadać za całokształt. I robota czysto administracyjna w samym wydziale kultury...

ZA LAT KILKA

Nie zanosiło się więc na konfrontację praw i odpowiedzialności z rzeczywistością. Może zatrzymać się na dniu dzisiejszym?

— Najważniejsza jest dla nas sprawa bazy.

Jeszcze kilka lat — jak o tym się dowiedziałem — a dzielnica rozkwitnie nowymi domami kultury, bibliotekami, ośrodkami kulturalnej rekreacji. Najokazalszy z nich powstanie na Retkini, tej największej z obecnie planowanych i już realizo-

wanych dzielnic mieszkaniowych Łodzi. Na blisko dwóch hektarach będzie tu miejsce na wszystko — pracownie dla klubów i kół zainteresowań, kino, sale widowiskowe, taneczne, dla ekspozycji plastycznych organizowanych i dla amatorów i dla zawodowców, bibliotekę, i kawiarnię a nawet na basen kąpielowy i boiska sportowe. Będzie to więc cały kombinat. Ale wizja przyszłości obejmuje także dwa dalsze domy kultury — na Nowym Złotnie i tuż pod bokiem dzielnicowej władzy, w rejonie ulicy Kopernika i Gdańskiej.

— W miejsce starych świetliczek, o których wiadomo, że są ale czasem nie wiadomo co robią, chcemy budować kluby w pawilonach wolno stojących, dwa z nich będą jeszcze przed 75 rokiem...

Kilka razy w ciągu blisko godzinnego wyliczania tego wszystkiego, co stanie się faktem, starałem się skierować rozmowę na sprawy dzisiejsze, przyszłość jednak była dla mego rozmówcy bardziej pasjonująca niż rzeczywistość. Wołał więc dopiero na tle pięknej wizji oceniać to, co wypadłoby zmienić czy poprawić, a co należy do rzeczywistości dzielnicowej. Nie można potępiać takiego stanowiska — jest to przecież cecha naszych czasów — szybko przechodzimy do porządku nad codziennością, która staje się czasem już nieznośna, nie przykrojona na miarę naszych potrzeb i zawrotnych nieraz koncepcji, w kreśleniu wizji dnia jutrzejszego upatrujemy najważniejszy cel.

— A dom kultury na Wapiennej będzie wtedy placówką o niższej randze, stanie się zamiast dzielnicowym — tylko osiedlowym domem kultury.

— Przecież ma on, jeśli się nie myli, wspaniałe osiągnięcia w swej pracy, więc to obniżenie rangi...

— Tak to będzie jednak wyglądać w przyszłości. Centrum kulturalnego oddziaływania znajdzie się w

nowym kombinacie, bo na Wapiennej nie ma warunków, umożliwiających pracę, zaspokajania rosnących potrzeb. Ale nie powiedziałem panu jeszcze wszystkiego. Mamy zamiar znacznie rozszerzyć sieć bibliotek, już do 1975 roku będą dwie nowe, do 80 dalsze cztery, a do 90 jeszcze dziesięć. Z osiemnastu aż jedenastu ulegnie likwidacji, bo mieszczą się w zbyt starych budynkach.

Gdy zajrzałem do planów na rok 1990 przypadających, to się okazało, że w tej dzielnicy będzie 27 bibliotek z prawdziwego zdarzenia, każda z nich obsłuży osiem tys. mieszkańców, a księgozbiory powiększą się łącznie tak, żeby na 100 mieszkańców przypadło 300 tomów. Rozwinie się sieć bibliotek osiedlowych, aby wszędzie było blisko po słowo drukowane, a najważniejsze — znikną stopniowo przypadkowo organizowane świetlice.

PRZYJDA NOWI LUDZIE?

W tej wizji, do której tak często wraca mój rozmówca, zapanuje porządek i w dziedzinie odpowiedzialności za pracę kulturalną. Obecnie szeroko korzysta się z pomocy społecznej.

— Ale, niech pan sobie wyobrazi — taki człowiek zachoruje, więc i świetlicę trzeba na jakiś czas zamknąć, myślę więc, że w przyszłości, w tych nowych świetlicach, powinny znaleźć się

etaty. Nie mówię tego, że nie widzę potrzeby szerokiego współuczestnictwa społecznego w tym, co robimy na dziś i dla przyszłości. Nie, wydaje mi się nad wyraz cenna każda społeczna inicjatywa i pomoc. No, ale ci społecznie ostatecznie powinni jakoś pasować do naszych programów i ambicji, praca dla kultury powinna chyba wynikać z osobistych pasji ludzkich i zainteresowań, z wiedzy i umiejętności, a nie tylko — z nadmiaru wolnego czasu.

— Widzę, że porusza pan problem nie tylko dzielnicowy i nie tylko odnoszący się do spraw kultury. Chce pan mówić, że z ofertą pracy społecznej spotykamy się najczęściej ze strony ludzi albo bardzo młodych, którzy nie znają jeszcze pełni życia i nie wiedzą często czego chcą, albo — bardzo czasem już starych, którzy żyją na ogół przeszłością, a rzeczywistość jawi się im już, po wielu latach czynnego życia i pracy, jako bezmiar wolnego czasu...

— Tak, zwłaszcza w kulturze występuje ogromne zamówienie społeczne na ludzi z aspiracjami, wiedzą i doświadczeniem, tkwiących w określonych środowiskach zawodowych i twórczych. Bez tych ludzi, wydaje mi się, trudno będzie cokolwiek zrobić.

DOROBEK

W pewnej chwili stwierdziłem, że rozmowa dałaby nieco wypaczony obraz. No, bo jeśli ciągle tylko o tym, czego brak, ciągle o dniu jutrzejszym, tak jakby nie było dnia dzisiejszego? W trudnych warunkach — gdy wala się ze starości niektóre biblioteki, gdy nie ma gdzie pomieścić wszystkich zespołów i ludzi szukających wyzicia się kulturalnego, czy choćby miejsca do uprawiania swego użytecznego i ciekawego hobby, gdy świetlicę trzeba zamykać na kłódkę, bo jej kierownik ma grypę, a zastępca nie został przewi-

FELIKS BĄBOL

dzielany, gdy tyle jeszcze braków — więc w tych trudnych warunkach dokonano tu godnego dzieła na miarę nie tylko dzielnicy, ale i miasta.

Właśnie w tej dzielnicy, jak w żadnej z czterech pozostałych, co piąty mieszkaniec jest stałym czytelnikiem kozystającym z bibliotek rejonowych. Weźcie pod uwagę — co piąty, wliczając w to niemowlęta, które czytać nie potrafią i sędziwych staruszków, którym książka już wypada z rąk. W tej dzielnicy też występuje największe społeczne zamówienie na literaturę popularno-naukową — nie jest to więc już tylko sam głód słowa drukowanego, ale wyższy jego stopień — głód wiedzy konkretnej. Tutaj z powodzeniem zlikwidowano „białe plamy” w sieci bibliotek i punktów bibliotecznych. Dzielnica szczyli się, i stuszenie, tym, że do swych placówek kulturalnych i świetlic przyciągnęła ogromną rzeszę młodzieży — bo aż połowę uczestników zespołów amatorskich, klubów zainteresowań, zajęć w domach kultury stanowią młodzi ludzie.

Trudno spotkać gdzie indziej tak liczne, jak tu, grono ludzi — organizatorów i ludzi — inspiratorów dobrej roboty kulturalnej. Zainicjowany przez nich festiwal kultury harcerskiej i szkolnej — już drugi w ich his-

przeźreniu na Zdrowiu, gdzie ma powstać w przyszłości park kultury i wypoczynku z urządzeniami na miarę i Prateru wiedeńskiego i chorzowskiego giganta. Ale dopóki ten park nie stał się jeszcze faktem dokonanym — jakże cenne są inicjatywy, które skłaniają dziesiątki tysięcy mieszkańców do spędzenia tu kilku godzin w sobotę czy w niedzielę, umożliwiają odprężenie po całotygodniowej pracy, wzbogacają krew w tlen a serca w radość. W tym parku odbywają się także wybory miss Zdrowia i pokazy lotnicze, niebo iskrzą ognie sztuczne, ludzie weselą się i tańczą, a istotne przy tym wszystkim i to, że bardzo rzadko wzywa się milicję.

Kulturę rozumie się tu bardzo szeroko. To pojęcie obejmuje przecież także szacunek dla człowieka, zasługującego zwłaszcza w naszym pracowitym społeczeństwie, na szczególne względy. Tutaj, z inicjatywy ludzi robiących w kulturze, powstał pierwszy w Łodzi „Klub złotej jesieni” skupiający starszych mieszkańców dzielnicy. Stworzono również klimat dla zdobywania wiedzy najprostszej, ale najpotrzebniejszej — na zajęcia uniwersytetu powszechnego przychodzą kobiety, aby uczyć się nie tylko przeróbek odzieży, gdy dzieci wyrastają z niej i wołają o nową,

ROZMOWA

torii — stał się świętem i naprawdę głębokim przeżyciem dla setek zespołów amatorskich, dla teatrzyków szkolnych i uzdolnionych artystycznie zespołów. Niektóre z tych zespołów nie postydziłyby się występów na estradach całego województwa czy nawet innych regionów. Szczep harcerski „Słoneczne drogi” z ulicy Krzemienieckiej najlepiej przygotował program teatralny — dzieci same napisały scenariusz, teksty, same wystawiły sztukę (pt. „Dwa serca”), zabrnęły nieco w obszar trudnej do pojęcia jak na ten wiek filozofii, ale przecież wzruszały publiczność festiwalową do łez. Szczep „Leonida Teligi” z ulicy Fornalskiej wystawił spektakl o tematyce morskiej... Ale najlepszy był Janusz Skonieczny, uczeń liceum, który po mistrzowsku, a nie, jak początkujący terminator w tym fachu, wyrecytował wiersze Włodzimierza Majakowskiego i z miejsca zakwalifikował się do eliminacji ogólnopolskich.

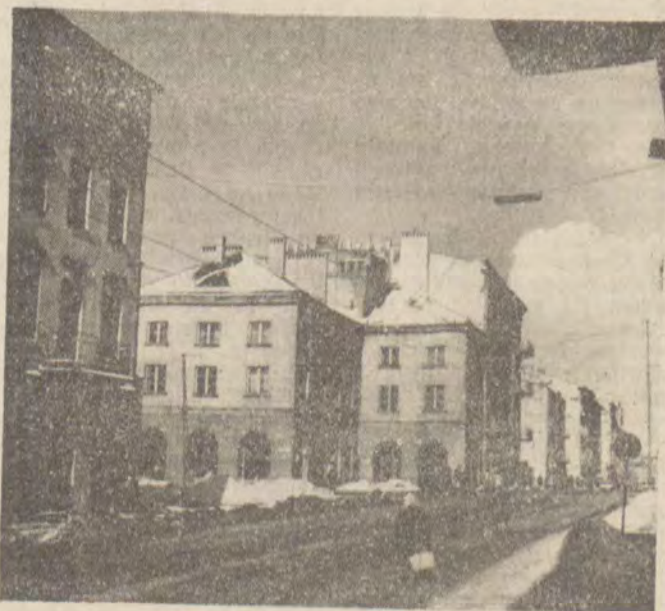
Sukcesy, płynące z inicjatyw i zdolności organizatorskich sięgają również wielkich kilkuset hektarowych

nie tylko przyrządzania, i innych soków z jarzyn i owoców, ale i zasad postępowania w rodzinie, zasad pedagogiki i wychowania.

— Jeśli tyle dobrego robicie — pytam — czy nie sądzi pan, że to aż dziwne, że myślimy tylko o przyszłości?

Musiałem to wreszcie powiedzieć, bo i dzień dzisiejszy, rzeczywistość — jeśli dobrze im się przyjrzeć, budzą optymizm:

— Wie pan, jak to jest. Uważamy, że najważniejsza jest baza, a ta zasadniczo rozwinię się dopiero w najbliższych latach, uważamy, że mamy zbyt mały wpływ na kulturę i to, co nazywamy konsumpcją kulturalną, w miejscu pracy. Siedemdziesiąt fabryk i przedsiębiorstw organizuje kulturę po swojemu, czasem nawet z dobrymi społecznie skutkami, ale w izolacji od jakichś ogólnych, bardziej przemyślanych programów działania. Chcielibyśmy mieć wpływ na to, co się dzieje w fabrycznych świetlicach choćby taki, jaki na kulturę mają już obecnie naczelnicy gmin.





INDIE

Historia Indii, jej religie, obrzędy, kultura, sztuka są w naszej literaturze opisane w stopniu dalece niewyczerpującym. Pierwsze zapiski z tej dziedziny pochodzą, co prawda, już z XVI i XVIII wieku, a spisali je polscy podróżnicy: Krzysztof Pawłowski i Maksymilian Wikłński; były też zapewne relacje misjonarzy polskich z wieków

XVII i XVIII, ale te nie zachowały się do naszych czasów; są także napisane przez Joachima Lalewela „Dzieje starożytne Indii” — ale ogólnie rzecz biorąc temat ten do początków naszego stulecia, kiedy to zaczęły pojawiać się pierwsze oryginalne (lecz również fragmentaryczne) opracowania, nie był podejmowany przez polskich naukowców. Obecny dorobek indologów polskich dotyczy się przede wszystkim zagadnień z dziedziny filozofii, literatury i języka oraz religioznawstwa. Są to jednak nadal opracowania wycinkowe, oświetlające tylko fragmenty, bez prób wiązania ich w organiczną i faktyczną-kronologiczną całość.

Książka „Indie” Arthura L. Bashama obejmuje okres od czasów najdawniejszych do podboju muzułmańskiego. Inaczej — czasy szczytowego rozwoju kultury i sztuki indyjskiej oraz myśli politycznej i kształtowania się fundamentalnych systemów społecznych. Wypelnia ona w dużym stopniu istniejącą lukę na ten temat w naszym piśmiennictwie. Lukę tym bardziej rażącą, że dzieje Indii współczesnych są nam znane i śledzimy je z zainteresowaniem i sympatią. Książka A. L. Bashama opatrzona została ponadto w szereg jedno- i wielobarwnych ilustracji, co w dużym stopniu podnosi jej wartość poznawczą.

A. G.

Arthur L. Basham „Indie”, PIW, W-wa 1973, cena 90 zł.

STAROŻYTNY RZYM

Wśród dużej ilości powieści historycznych rzadko która na trwałe zapisuje się w pamięci czytelników. Jedną z nich jest niewątpliwie „Po nas choćby potop” czeskiego pisarza Josefa Toman. Szybko zdobyła sobie szeroki rozgłos i została przetłumaczona na wiele języków europejskich.

Autor znany z szeregu prac historycznych, a przede wszystkim z powieści o czasach barokowej Hiszpanii „Don Juan”, tu zajął się niezwykle atrakcyjnym dla pisarza tematem, jakim jest starożytny Rzym.

Przez trzy lata wertował różnorodną źródła dotyczące okresu panowania Tyberiusza i Kaliguli, zwiędził niemal całe Włochy i osiągnął zamierzony efekt — przy pomocy środków współczesnej sztuki techną życie w dawny świat. Udało mu się bowiem stworzyć nie powierzchowny, a pełny obraz opisywanych czasów. Rzym jest tu nie tylko wizerunkiem pewnej społeczności, lecz czynnikiem funkcjonalnym akcji. Został pokazany tak samo wielostronnie i barwnie, jak wielostronne i barwne było życie w antycznym Rzymie.

Główny czynnik, dzięki któremu powieść żyje i przemawia do czytelnika, to lud rzymski i jego problemy. Znakomicie oddany został konflikt między dwoma Rzymami — bogatych i niedźwiedzi. Niezwykle cenne jest też odmienne od utartych schematów spojrzenie na Tyberiusza, Kaligulę i Senekę. Próba ukazania motywów ich działania.

Bardzo trafnie rozwiązał także autor problem wiarygodności języka i stylu, po prostu zastosował styl współczesny, który absolutnie nie razi. W sumie umiejętne połączenie arcyzmu z wiedzą historyczną w jedną nierozdzielalną całość leży u źródła popularności powieści.

A. N.

Josef Toman — „Po nas choćby potop”, PIW 1973.

HUMORESKI EROTYCZNE GREENE'A

„Pożycz nam męża, Poopy”, tytuł jednego z opowiadań Grahama Greene'a jest jednocześnie wspólnym tytułem dla zbioru dwunastu opowiadań, które w Anglii ukazały się w 1967 roku, a u nas obecnie, w serii PIW-u „Współczesna proza światowa”.

Męża „wypożyczają” od świeżo upieczonej, młodzieńczej żony dwaj panowie, którzy byli... zajęci sobą, ale chyba jednak nie całkowicie, jak małżeństwo po kilku latach „pożyła”. Pikanturna historia o trzech panach i naiwnej Poopy otwiera cały zbiór, któremu autor dał podtytuł „Humoreski erotyczne”. Graham Greene, angielski pisarz, publicysta i dramaturg, autor wielu powieści, w których zajmując się problematyką religijną-moralną i psychologiczną, przedstawia odwieczny konflikt dobra i zła, znany jest polskiemu czytelnikowi z przekładów choćby „Mocy i chwały”, „Sedna sprawy” czy „Spokojnego Amerykanina”.

Zbiór opowiadań, wydanych obecnie, poświęcony jest głównie sprawom płci i seksu, potraktowanych w sposób ironiczny i żartobliwy, ale też subtelny i czasem liryczny. Paradoksalne sytuacje, niezadko śmiałe z punktu widzenia tradycyjnej moralności, służą autorowi jako pretekst do głębszej refleksji nad złożonością ludzkiej natury.

Greene ma świetnie opanowany warsztat pisarski, toteż jego erotyczne humoreski aczkolwiek nie do wszystkich opowiadań ten tytuł przystaje, będąc czytelnika bawić i zmuszą do chwili zadumy. W myśl zasady „Nic co ludzkie...”

Graham Greene „Pożycz nam męża, Poopy”, PIW W-wa, 1973, str. 133, cena zł. 20. —

„DZIEJE GRECJI”

Kolejną pozycją cieszącą się niesłabnącym powodzeniem „ceramowitej” serii PIW jest obszerna monografia historyka angielskiego N. G. Hammonda „Dzieje Grecji”. „Książka ta została napisana po dokładnym przebadaniu oryginalnych źródeł, na których opiera się nasza znajomość dziejów Grecji” — pisze we wstępie do drugiego wydania autor. Dodać trzeba, że N. G. Hammond poznał dokładnie także Grecję dzisiejszą. Efekt jego studiów jest imponujący. Monografia obejmuje bowiem dzieje Grecji starożytnej od jej początków aż do 322 roku p.n.e., to jest od czasu podboju państwa przez Aleksandra Macedońskiego. Autora interesują nie tylko fakty i wydarzenia historyczne. Wiele miejsca i uwagi poświęca także rozwojowi greckiej kultury, kształtowaniu się myśli filozoficznej, instytucji społecznych i temu wszystkiemu, co wpłynęło na fakt, że Hellada stała się kolebką kultury europejskiej.

Bez większego ryzyka można przewidzieć, że „Dzieje Grecji” znikną z księgarskiej lady bardzo szybko. I to nie tylko dlatego, że historia tego państwa pasjonuje wielu z nas. Praca angielskiego historyka ma poza walorami dzieła naukowego jeszcze jedną, niebagatelną zaletę. Docieklivość i pasja Hammonda — badacza znalazła tu sojusznika w osobie Hammonda — popularyzatora o talentach literackich. Toteż jego monografia będzie pasjonującą lekturą dla wszystkich, jest atrakcyjna, przystępna i nie wymaga, na szczęście, specjalistycznego przygotowania.

Przekład dokonała Anna Swiderkówna, znana nam zresztą m. in. z wydanej również w tej samej serii „Hellady Królów”.

B. M.

N. G. Hammond — „Dzieje Grecji”, PIW W-wa, 1973, str. 857, cena zł 140. —

RÓZGA

Słońce. Upał. Znojnie ćwierkają świerszcze. Brodzą wśród olchowych gąszczy, ścinam różgi. Jeśli ze świeżego grębika dokładnie zdjąć korę, drewno zaczyna szybko schnąć i czerwienić. Znajduję gładki sęczek, szczyrzykiem nakreślam na nim spiralny rysunek.

Z lasu z hałasem wyskakuje zdyszany mężczyzna. Lomocą rozdeptanymi buciorami przebiega obok mnie i krzyczy:

— Wojna, chłopcze!

Rzucam swoją zabawę i milcząc biegnę za nim. Płoszy się czerwonoogłowego dzięcioła. Kaleczą mnie zarośla. Biegnę poprzez cień. Przez światło.

I nie zauważam jak wypada mi z rąk różga...

EWAKUACJA

Nigdy nie widziałem tylu dzieci razem: troje na każdej półce! W przedziale sześć półek. I jeszcze trzy w poprzek. Liczę: dwadzieścia siedmiu dzieci. A wagon jest długi, bardzo długi. A za naszym wagonem — jeszcze inne, jeszcze i jeszcze.

Przeciskam się na czworakach i patrzę w okno. Och, ile matek! I moja...

Pociąg rusza. Wraz z nim rusza tłum matek. Kobiety biegną obok wagonów, machają rękami i głośno płaczą. Robi mi się strasznie, bo tak wiele kobiet płacze jednocześnie. Z moich oczu lzy nie płyną, ale mgłą zasłaniają mi wzrok, nie widzę peronów, nie widzę drogi przed nami. Kiedy mogę już patrzeć, zauważam sąsiada. Jest moim rówieśnikiem, ma dziesięć — jedenaście lat. Drży, jakby mu było zimno.

CZUBARIK

Tutejsi chłopcy mają jeden wesoły obowiązek: pławienia kołchozowych koni. Mnie przypadł Czubarik. Czubarik, to szary, nakrapiany koń z podstrzyżoną grzywą. Jego oczy patrzą spokojnie, nawet kiedy się płoszy i wierzga. Nad

WŁADYMIER TOROPYGIN

Denerwuje mnie to. Krzyczę:

— Co nam za to dacie?

Kobiety wcale nie zdziwione moim wybuchem, cichną. Targowanie rozpoczęte. Na tym nie znam się zupełnie. Odchodzę w ciemny kąć, siadam na ławce i zasypiam. Potem robi mi się cieplej — obok usadowiła się mama.

— Wymieniłam. I mąki i kartofli dali — szepcze.

Budzę się rano, za oknem jeszcze zupełnie ciemno. Gospodyni, bosa i w spódniczce stoi przed matką:

— Idźcie teraz... Jeszcze nie zima, wyjrzy słońce, zażółci drogę — daleko nie ujdziecie.

Wiem: po odmarznętej, glinastej i pełnej nawozu drodze ciężko ciągnąć i puste sanki, a z mąką i kartoflami — po prostu niemożliwe.

Gospodyni pomaga matce odnieść worki do drzwi.

— A śmietanki synek dawno nie jadł? — pyta, spoglądając na mnie.

— Jaka tam śmietanka! — obrusza się matka.

Gospodyni wchodzi do sieni i wraca z oszronionym od zimna dzbankiem!

— Masz, weź! — podaje dzbanek matce.

— No, co też wy!

— Bierz, bierz! Wstyd mi co — prawda po prostu tak ci oddać, swoich gąb — widziałas ile! Gospodyni pokazuje na piec, skąd patrzy na nią kilka par zdziwionych dwojroco budzących się dziecięcych oczu. — No, daj chociaż broszkę, te, albo co...

Matka odpina od sukienki taniuteńką, szklaną broszkę.

— No, tak, jakbyśmy się pomieniali — wdycha gospodyni.

NA GRZYBY

Rada rejonowa wypelnia nam niedziele zbieraniem grzybów. Wyjeżdżają do lasu całe oddziały. Jadę i ja z matką.

BALLADA O CHŁOPCU I WOJNIE



oczami — dwa głębokie dołki. Kiedy Czubarik się pasie i żując mocno ścisną szczękę, te dołki przemieniają się w male wypukłości.

Wprowadzam go w wodę i wycieram dłonią gładkie, błyszczące boki.

Pewnego razu Czubarik zbiesił się: długo nie pozwalał mi się dosiąść. Uchwyciwszy za grzywę, mimo wszystko wdrapałem się na jego grzbiet. Koń zdenerwował się, wierzgnął wysoko nadnimi nogami i rzucił mnie. Ale nie kopnął, przeskoczył przeze mnie, popatrzył na ziemię, jakby sprawdzając czy nie stało mi się nic złego i pokłusował w pole.

MITKA

Mitka — chłopiec taki sobie, nic nadzwyczajnego. Ubrany w żołnierski płaszcz, obcięty nad kolanami. Twarz szeroka, usiana gęsto piegami. Kiedy Mitka uśmiechnie się, wydaje się, że jest ich jeszcze więcej.

— Daj papierosa! — doprasza się każdego.

Mieszka Mitka z ojcem (matki nie pamięta, dawno już zmarła). Dla niego właśnie zdobywa papierosy.

Oto Mitka podaje ojcu wyludzonego papierosa. Wtedy czuje, jak rodzi się między nimi coś dla mnie niepojętego, pieszczotliwego, coś, co godne jest zazdrości.

WOLGA

Od Marina dziesięć kilometrów — i już Wolga! Tak powiedziała gospodyni. Wieczorem. Przy kolacji. Rankiem idę w stronę Wołgi.

Wolga... Wolga — matuszka.

Słyszałem to jeszcze w Leningradzie. I nie rozumiałem dlaczego „matuszka”?

Tak, to ogromna rzeka! Ledwie widać na przeciwnym brzegu czerwone urwisko. Brzeg, na którym stoję zalany powodzią: spod wody sterczą wierzchołki brzoź, stogi siana. Wracam wydorosłały: widziałem Wołgę!

DZBANEK ŚMIETANY

Sklepy pustoszeją. Nie starcza chleba, więc mieszkańcy miasta od czasu do czasu chodzą do pobliskich wsi, wymienić odzież na mąkę.

I my z matką wybieramy się tam po pierwszym śniegu. Idziemy niedługo, ale do wsi dobijamy o zmroku: pogoda jest mglista i dżdżysta, więc ściemnia się wcześniej.

W pierwszej chałupie — prawie cała wieś: kobiety zeszły się, aby poczytać listy. Stół zasypiany różnokolorowymi, trójkątnymi kopertami. Matka odwija towar: szeroki, puszysty szal i nie wiadomo po co przywiezioną z Leningradu ojcowską wieczorową marynarkę, która teraz bardzo się przydała.

Kobiety wdychają: szal i marynarka podobają się im. Pełnymi współczucia głosami mówią o nieszczęściach, które niesie wojna, o życiu w ołych stronach.

Mam szczęście. W gęstym zagajniku natrafiam na grzybie rodziny. Grzyby młodzieńcze. Chruścieli ilość nieprzebrana. Rydzyki różnobarwne jak jesiennie liście. Białe surojadki.

Obok wozu, do którego zsypywaliśmy zebrane grzyby, wysoki, zgarbiony dziadek:

— Piękne! Usiąść by pod krzaczkiem, zamyslić się, popatrzeć na każdy. A my na kupę je: pożywienie... Tak to jest, chłopcze!...

KOMÓRKA WALI

Pyta mnie córka sąsiadów, Wala:

— Widzę, że codziennie coś czytasz... Lubisz czytać?

— Lubię.

— Chcesz, coś ci pokażę?...

Przychodzimy do niej, do domu. Wala podnosi zasłonę na drzwiach komórki.

Komórka, jak komórka. Przy wejściu — beczki z kiszoną kapustą. Na nich wielkie polne kamienie. Kapusta burzy się, więc kamienie oblepia bujna, parskająca pianą. Z sufitu zwisają girlandy cebuli. W kącie, jedna na drugiej, dwie skrzynie.

— Otwieraj — pokazuj Wala skrzynie.

Podnoszę ciężką pokrywę. W nozdrza uderza kwaśnawy zapach zleżałego papieru.

— Książki!

W skrzyni jakieś przedrewolucyjne pisma, powieści o życiu Piotra I i patriarchy Nikona, i tanie ale kompletne wydania Tolstoja i Czechowa.

Otwieram pierwszą lepszą książkę. Między kartkami popiół. I ogarnia mnie niewytłumaczalne poczucie bliskości z tym człowiekiem, który siedział kiedyś nad tą książką, myślał nad nią, palił papierosy.

KINO

Klub mieści się w dawnej cerkwi. Malowidła na ścianach pociągają wapnem prawie co miesiąc, ale już za dzień — dwa ikony uparcie wypelzają na wierzch, pałają swymi starymi, jaskrawymi barwami. Szczególnie trudno zamalować ogromną przestzeń, która znajduje się akurat nad ekranem. Cierpiącą twarz Chrystusa widać nawet w półmroku, kiedy wyświecła się film.

Nie lubię chodzić do kina.

POWRÓT

Rok 1944. Lato. Leningrad. Wróciliśmy. Nie ma już tu blokady, choć wróg jeszcze niedaleko.

Leon — „blokadnik” — mówi do mnie:

— Dobrze by teraz tam, gdzie... wiesz? Brzozowe zarośla, trawa, świerszcze...

— Poczekamy, bracie, doczekamy...

Przełożył: MAREK WAWRZKIEWICZ

NASZE OSIĄGNIĘCIA, NASZE REZERWY

Pomyślnie realizujemy uchwały VI Zjazdu PZPR. Polityka partii, zainicjowana na VII i VIII Plenum KC PZPR, wyzwoliła energię ludzi pracy, przyczyniła się do konsolidacji społeczeństwa, do wzrostu wydajności pracy. W pierwszych latach realizacji zadań bieżącej pięcioletki zanotowano wysoki wzrost produkcji. Nastąpiła poprawa warunków życia, w wielu środowiskach uregulowano płace, uporządkowaliśmy świadczenia socjalne, stworzyliśmy lepsze warunki dla rozwoju rolnictwa.

To są nasze sukcesy, nasze osiągnięcia, ale też jesteśmy świadomi, że w wielu dziedzinach życia mamy jeszcze ogromne rezerwy. Krajowa Konferencja Partyjna określi kierunki naszej pracy w następnych latach pięcioletki, tak, aby można było planowane poprzednio zadania znacznie przekroczyć. Trzeba wykorzystać wszystkie istniejące rezerwy, trzeba usunąć z drogi wszelkie przeszkody i hamulce. Musimy stworzyć jeszcze lepsze warunki dla wydajniejszej i lepszej pracy nas wszystkich.

Zaprosiliśmy do redakcji łódzkich delegatów na Krajową Konferencję Partyjną, aby porozmawiać z nimi nie tyle o osiągnięciach, ile o rezerwach, aby w wyniku tej rozmowy pokazać, co trzeba jeszcze zmienić, żeby wskazania Krajowej Konferencji Partyjnej mogły być w pełni zrealizowane.

W rozmowie, której fragmenty publikujemy, udział wzięli: ANTONI DĄBROWA — zastępca członka Komitetu Dzielnicowego PZPR Górna, dyrektor Zakładów Przemysłu Jedwabniczego „Pierwsza”, JERZY MADZIAŁA — członek Komitetu Zakładowego PZPR w ZWS „Anilana”, ślusarz, ZDZISŁAW OWCZAREK — sekretarz POP, kierownik budowy w Łódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, JAN ROSIAK — członek Egzekutywy Komitetu Dzielnicowego PZPR Baluty, ekonomista w Łódzkich Zakładach Remontowo-Montażowych Przemysłu Lekkiego oraz JÓZEF WIŚLICKI — członek Egzekutywy Komitetu Łódzkiego PZPR, monter w Fabryce Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta”.

„ODGŁOSY”: — Hasło „Zbudujemy drugą Polskę” oznacza nie tylko podwojenie naszego stanu posiadania, ale chcemy, aby to, co zbudujemy było lepsze, bardziej nowoczesne. Do realizacji tego hasła trzeba nam świadomości, że nie osiągniemy celu bez zmiany sposobu myślenia, bez udoskonalenia metod pracy. Ten proces już się rozpoczął. Zdajemy sobie jednak sprawę, że mamy jeszcze sporo rezerw i ich ujawnienie jest obecnie najpilniejszym zadaniem.

MOŻNA LEPIEJ

J. MADZIAŁA: — Dzisiaj w nowoczesnym myśleniu, w myśleniu na przyszłość re-

zerwy odgrywają dużą rolę. Istotnie, bez znalezienia i wykorzystania ich niewiele zrobimy. Ale rezerwy trzeba pojmuwać szeroko. Dla mnie na przykład pojęcie rezerwy wiąże się ze stabilizacją załogi.

A. DĄBROWA: — To prawda. „Pierwsza” dała w ciągu dziewięciu miesięcy tego roku dodatkową produkcję wartości 86,5 mln. zł, a liczymy, że damy dodatkową produkcję o wartości 100 mln zł. A stało się to dzięki sprzyjającemu klimatowi, jaki panuje w fabryce. Większość załogi stanowią u nas ludzie od lat tu pracujący, ściśle z zakładem swojej pracy związani. W „Pierwszej” pracują całe rodziny — ojciec, syn, matka,



Fot. A. Parys

córka. Utworzyła się więc już nie indywidualna, a rodzinna. Ludzie uświadamiają sobie, że fabryka daje utrzymanie nie jednej osobie, ale całemu rodzinom. Rozumieją, że ich interes osobisty, rodzinny splata się z interesem ich zakładu pracy.

Dla „Pierwszej” ustabilizowanie załogi nie stanowi już czynnika, który sprzyjałby lepszej i wydajniejszej pracy. Nie stanowi rezerwy w zwiększeniu produkcji. I dlatego uważam, że do rezerw trzeba podchodzić w sposób różnicowany i konkretny.

J. WIŚLICKI: — Bardzo konkretnie. Przykładem tego może być „Elta”. Wydawałoby się, że fabryka już stara. Część załogi przyszła tu jeszcze z fabryczki przy ul. Kopernika. Też zdarza się, że pracują rodziny. A przecież problemem dla nas jest fluktuacja kadr. Dlaczego? Po prostu — Teofilów jest ciągle jeszcze wielkim placem budowy. Powstają nowe fabryki, rusza produkcja i ludzie przechodzą. Nęci ich nowość, lepsze warunki, a nam to dezorganizuje pracę.

„ODGŁOSY”: — A przecież macie własną szkołę zawodową.

J. WIŚLICKI: — Mamy szkołę zawodową i techni-

kum, w których w przeważającej większości uczą się dzieci naszych pracowników, ale to nie rozwiązuje nam problemu odpływu ludzi z „Elty”. I dla nas ustabilizowanie załogi jest niewątpliwie rezerwą, mogłoby się bowiem przyczynić do zwiększenia produkcji.

Z. OWCZAREK: — W budownictwie to wygląda jeszcze trochę inaczej. A przypuszczam, że nie tylko w budownictwie. Będę jednak trzymał się naszego przykładu. Otóż my zatrudniamy sporą grupę ludzi dowożonych. Taka jest konieczność. Z tymi ludźmi mamy sporo kłopotu. Przychodzą siewy, żniwa, wykopki i trzeba ludzi tych zwalniać, dawać im urlopy. Rolnictwo jest ważną częścią gospodarki i nie można go nie doceniać, ale w produkcji tych ludzi brakuje, najczęściej do prac wykończeniowych, montażowych. A to znów powoduje zakłócenia w rytmie pracy, opóźnienia. I właściwie nie bardzo wiadomo, jak ten problem rozwiązać, bo wyjście jest jedno — mechanizacja. Pokazuje się nam na wystawach nowy sprzęt mechaniczny, a kiedy wołamy o ten sprzęt, to mówi się nam — poczekajcie, to tylko prototypy.

J. ROSIAK: — Wiele przedsiębiorstw ma podobne kłopoty. My na przykład pracujemy dla zakładów przemysłu lekkiego w całym kraju. Dodatkowo podejmujemy się jeszcze prac awaryjnych. Czasem trzeba pracować całą dobę i więcej bez przerwy, czasem daleko od domu. Staramy się jednak zrekomensować załodze jej ciężką pracę i wielką wagę przykładamy do rozwoju bazy socjalnej. Dysponujemy ogromnym ośrodkiem wypoczynkowym, gdzie każdy może pojechać. Dzieci pracowników wysyłamy na kolonie. Jadą wszystkie. Dla starszych robimy obozy wędrownie. I załoga to ceni.

„ODGŁOSY”: — Dla wielu przedsiębiorstw ustabilizowanie załogi jest na pewno czynnikiem niezwykle istotnym. Ale to nie wyczerpuje problemu wyszukiwania nowych rezerw.

Z. OWCZAREK: — Oczywiście. Zresztą i sytuacja kadrowa przedsiębiorstw stopniowo ulega zmianom. My przeprowadziliśmy ankietę, w wyniku której okazało się, że bezpośrednio w produkcji mamy 35 inżynierów magistrów w wieku do 35 lat. Radykalnie zmieniła się kadra mistrzów. Bywało kiedyś i tak, że mistrz nie mógł sobie poradzić z ry-

sunkiem technicznym. Dziś przedsiębiorstwo ma podobne kłopoty. My na przykład pracujemy dla zakładów przemysłu lekkiego w całym kraju. Dodatkowo podejmujemy się jeszcze prac awaryjnych. Czasem trzeba pracować całą dobę i więcej bez przerwy, czasem daleko od domu. Staramy się jednak zrekomensować załodze jej ciężką pracę i wielką wagę przykładamy do rozwoju bazy socjalnej. Dysponujemy ogromnym ośrodkiem wypoczynkowym, gdzie każdy może pojechać. Dzieci pracowników wysyłamy na kolonie. Jadą wszystkie. Dla starszych robimy obozy wędrownie. I załoga to ceni.

„ODGŁOSY”: — Dla wielu przedsiębiorstw ustabilizowanie załogi jest na pewno czynnikiem niezwykle istotnym. Ale to nie wyczerpuje problemu wyszukiwania nowych rezerw.

Z. OWCZAREK: — Oczywiście. Zresztą i sytuacja kadrowa przedsiębiorstw stopniowo ulega zmianom. My przeprowadziliśmy ankietę, w wyniku której okazało się, że bezpośrednio w produkcji mamy 35 inżynierów magistrów w wieku do 35 lat. Radykalnie zmieniła się kadra mistrzów. Bywało kiedyś i tak, że mistrz nie mógł sobie poradzić z ry-

na ich miejsce przyszli młodzi, po technikum którzy doskonale radzą sobie i z ryunkiem technicznym i z rozdziałem robót.

RYTMICZNIE

J. MADZIAŁA: — Wydaje mi się, że najważniejszą sprawą jest obecnie doskonalenie organizacji pracy. W tym chyba tkwi największa rezerwa. Tu kryją się wielkie możliwości. Brak umiejętności organizacyjnych — przynajmniej dla mnie — ujawnia się w chwili łączenia małych przedsiębiorstw w duży kompleks.

J. ROSIAK: — To prawda. Ale prawdą jest też i to, że w przedsiębiorstwie może panować doskonała organizacja pracy, a mimo to będzie się ono borykało z trudnościami. Na czym ta pozorna sprzeczność polega? Przykładem niech będzie nasze przedsiębiorstwo — Łódzkie Zakłady Remontowo-Montażowe Przemysłu Lekkiego. Gdyby w radykalny sposób usprawniono dostawy materiałów, gdyby one spływały rytmicznie i gdyby odpowiadały istotnym potrzebom, to jesteśmy w stanie znacznie podnieść wydajność pracy. Przecież zdarza się, że niektóre brygady specjalistyczne stoją po dwa, trzy dni, pracują „na pół obrotach”, aby później pracować znacznie dłużej niż 8 godzin.

Z. OWCZAREK: — Rozumiem, że tu chodzi o to, iż żadne przedsiębiorstwo nie istnieje samodzielnie, że musi współpracować z innymi. I nawet najlepsza organizacja pracy w tym przedsiębiorstwie może zalać się, jeśli w innym, a z nim współpracującym, też nie dokonana się postępu w tej dziedzinie i jeśli współpraca obu partnerów nie będzie dobrze zorganizowana.

J. WIŚLICKI: — Nie byłbym skłonny problemu doskonalenia organizacji pracy przenosić poza obręb przedsiębiorstwa. To prawda, że dostawy materiałów i surowców są nierytmiczne, że często przychodzą gorszej jakości. Ale też prawdą jest i to, że w niektórych zakładach szwankuje kooperacja wewnętrzna, a to przecież zależy od właściwej organizacji pracy w przedsiębiorstwie. I w tym tkwią ogromne rezerwy.

JERZY WILMAŃSKI

Mozaika łódzkich książek

Problem tworzenia tradycji, tworzenia dokumentacji literackiej czy dziennikarskiej z łódką w herbie podniosły — nie po raz pierwszy zresztą — „Odgłosy” niedawno. Jest to sprawa wciąż żywa, wciąż aktualna i myślę, że warto przypomnieć w tym miejscu głośną swego czasu książkę Ludwika Stolarzewicza „Kultura Łodzi”, Wydano ją w roku 1935.

Nie jest na pewno ta publikacja przejawem sumienności źródłowej, wiele w niej błędów, przeoczeń i zwykłego koniunkturalizmu. Ale jest to jedyna do dziś kompendium wiedzy o kulturze Łodzi.

Podobna książka, obejmująca blisko półtora wieku łódzkiej kultury, nie ukazała się — niestety — do dziś. Mimo istnienia ośrodka humanistycznego, mimo istnienia oficyny wydawniczej... Mimo rocznicy 550-lecia praw miejskich Łodzi — 150-lecia Łodzi przemysłowej i 30-lecia Polski Ludowej. Jak więc widać rocznicowych okazji aż nadto.

A przecież obraz kultury w tym mieście uległ ogrom-

nym przeobrażeniom, aż prosi się o opracowanie nowej publikacji, podejmującej lepiej i pełniej pionierski trud Ludwika Stolarzewicza. Takiej książki do dziś nie ma i aby znaleźć nieco informacji na ten temat trzeba szukać wśród pryncyparskich prac w rocznikach świetnie redagowanych „Prac Polonistycznych”, lub zesztytach „Osnowy”, której znaczenie zaczynamy doceniać dopiero teraz, kiedy kwartałnik stał się już historią.

Oczywiście potrzebne są dla prawidłowego rozwoju kultury wielkie i ambitne publikacje syntetyzujące. Nie ma ich i to źle. Są jednakże — i ostatnio coraz

więcej — publikacje pryncyparskie, wycinkowe, o ciężarze gatunkowym felietonu czy reportażu. Nie jest to, rzecz prosta, zarzut — myślę nawet, że owe reportersko-felietonowe książki spełniają nader ważną rolę. Po prostu łatwiej trafiają do czytelnika.

I takich książek ostatnio mamy sporo, biblioteczka z hasłem „Łódź” gwałtownie się powiększa.

Myślę, że na osobne omówienie zasługuje praca Konrada Frejdlicha, który zebrał z dziesiątek międzywojennych czasopism reportaże dotyczące Łodzi. Ta pionierska i bardzo ważna dla kultury miasta książka daje nam obraz Łodzi widzianej przez najwybitniejszych twórców tamtych lat.

A jak widzą Łódź twórcy współcześni?

W ostatnich miesiącach ukazały się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, aż cztery interesujące i czytel-

nico atrakcyjne pozycje.

Jan Babiński wydał dwa tomy reportaży — „Chirromanta i komputery” oraz „Drogi do kariery”. Pierwsza mówi o Łodzi współczesnej, druga o przeszłości. Jakkolwiek osobiście pasjonuje mnie „wywoływanie przeszłości”, to muszę przyznać, że „Chirromanta i komputery” jest książką dla współczesnego czytelnika o wiele bardziej atrakcyjną. Babiński nie pominął żadnej żywej sprawy tego miasta, opowiada o nich w sposób ciekawy, bombarduje czytelnika informacjami mało znanymi, choć obiekty tych informacji widzimy codziennie. Ile kosztuje utrzymanie Teatru Wielkiego, czy będzie w Łodzi metro, jakie są losy lotniska na Lublinku, jak powstaje śródmiejskie centrum przy Główniej... Dziesiątki naszych codziennych spraw, setki informacji, o których my, łodzianie, często nie mamy pojęcia.

Ktoś powiedział, że reporter jest po to, aby tysiącom innych ludzi opowiedzieć o sprawach, do których sami dotrzeć nie mogą, po to jest reporter, aby być tam, gdzie przeciętny zjadacz chleba nie ma czasu ani możliwo-

ci dotrzeć. Może to być Przyładek Dobrej Nadziei, ale może to być także ostatnie piętro wieżowca, w którym inż. Aleksander Zwierko projektuje centrum nowej Łodzi. Może to być Australia, ale może to być Łódzka kolonia Cyganów... Myślę, że Jan Babiński dobrze wypełnił tę podstawową rolę reportera. Napisał książkę o tym, co nas na co dzień otacza i napisał rzecz pasjonującą...

Druga książka Babińskiego „Drogi do kariery” jest wypadem w łódzką przeszłość. I tu także autor dotarł do spraw szerszej nieznanych, opisał historyczne kariery — nie te powszechnie znane Poznańskiego i Geyera, ale dzieje Eitingona, ostatniego króla bawelny... Pisze o łódzkich Niemcach, a jest to temat bardzo żywy i wciąż mało znany mimo źródłowej pracy M. Cygańskiego. Spisuje fantastyczny „kryminał” — tym ciekawszą, że, nie zmyśloną opowieść o szajce, którą rządziła łódzka elektrownia, dorabiając się milionów. Galeria typów ciekawa, były minister, były premier i profesor na dodatek, który zresztą współników wystawił do wiatru...

„Drogi do kariery” są jeszcze jedną książką dokumentującą trudne i złożone sprawy tego miasta, jego pokrońnej i pełnej zaskakujących wydarzeń historii. Bardzo potrzebna książka.

Również Jerzy Urbankiewicz ma na swym koncie kilka książek o przeszłości Łodzi („Muzy przy krosnach”, „Za płotem Paradyżu”). Ostatnio ukazał się tego autora „Prawie Pitaval” dzieje afer kryminalnych. Nie tylko zresztą, jest tu bowiem opowieść o legendarnym kacie Fremłu, o którym w starych łódzkich rodach mówi się do dziś. Jest siedemnastowieczna historia łódzkiej „czarownicy”... Ale jest i opowieść o Wampirze z Galkówka, którego proces bulwersował cały kraj przed paroma laty, jest — mało znana — historia zabójstwa Prezydenta miasta, Mariana Cynarskiego w roku 1927... Słowem jest tu obraz miasta od strony mrocznej i posępnej, ale przecież z takich właśnie publikacji układa się wielostronny i pełny wizerunek Łodzi, jej historii i obyczajowości.

Te książki wąskie tematycznie i nieraz przyczynkarskie, czy może kronikarskie razem wzięte tworzą

Z. OWCZAREK: — Ja bym tych spraw nie rozdział. Doskonale organizacja pracy trzeba pojmować szeroko i wszechstronnie. Przykład: Zdarzało się, że w trakcie projektowania uwzględniono zastosowanie takich urządzeń, które znajdowały się już w katalogu, ale których nie było jeszcze w produkcji. Weszliśmy w porozumienie z biurami projektowymi i to znacznie usprawniło nam pracę. Inny przykład: Uzbrojenie terenu powinno wyprzedzać wejście na plac budowy przedsiębiorstwa, które będzie daną inwestycję realizowało. W praktyce zdarza się inaczej. Povolaliśmy własną komórkę robót inżynierskich, choć tego typu pracami powinny zajmować się przedsiębiorstwa specjalistyczne. Ale własna komórka usprawniła nam pracę. Dzięki temu osiągamy lepsze wyniki, skracamy cykle inwestycyjne. Mamy jeszcze kłopoty z transportem budowlanym, ale szukamy wspólnych rozwiązań razem z przedsiębiorstwem transportowym.

„ODGŁOSY”: — Wniosek z tego jest prosty. Nie wystarczy stwierdzić, że gdzieś tkwią ogromne rezerwy, ale trzeba dążyć różnymi sposobami do ich wykorzystania. Decyduje twórcze myślenie, które prowadzi do najlepszych rozwiązań.

MÓZG CZY MIĘŚNIE

A. DĄBROWA: — To powinno dotyczyć każdej dziedziny, ale też trzeba pamiętać o realności tych najlepszych rozwiązań. Trzeba uważnie kalkulować i wybierać te z najlepszych, które najbardziej się nam opłacają. Tu nie można działać na zasadzie „sztuka dla sztuki”, postęp dla postępu, nowoczesność dla nowoczesności.

„ODGŁOSY”: — O takie myślenie chodzi. Jeśli mówimy o wyszukiwaniu i wykorzystaniu rezerw, to nie po to, aby tylko produkować więcej, ale aby produkować więcej rzeczy nam potrzebnych. Po to też mamy wykorzystywać rezerwy, aby można było pracować lżej, spokojniej, a jednocześnie wydajniej.

J. MADZIAŁA: — Wydaje mi się, że największe rezerwy tkwią w naszej świadomości. Często szukając rozwiązań doraźnych, nie myślimy o przyszłości, o tym, jak te rozwiązania sprawdzą się za dwa lata, za trzy i więcej, czy będą wystarczające. Sprawy drobne przesłaniają nam cel. I to prze-

(Dalszy ciąg na str. 8)

panoramę dziejów miasta. Do tej kategorii publikacji należy także wiele urokliwych książeczek **Wacława Pawłaka** „W cieniu ratuszowej wieży”. Niektóre z zawartych w zbiorze felietonów historycznych autor drukował w „Odgłosach”, trzeba zresztą powiedzieć, że również Babiński i Urbankiewicz na naszych łamach prace swe nieraz publikowali.

Książka Pawłaka składa się sponad czterdziestu felietonów, autor przyjął tu zasadę „Silva rerum”, nie ograniczając się do jednego kręgu tematycznego. Podobnie jak Urbankiewicz pisze o osławionym Fremle, ale jednocześnie pisze o towarzysztwie zbierającym się w kawiarni „Roszka”, o starych łódzkich księgarzach, o cyrku na Targowym Rynku, o pierwszej łódzkiej gazecie, o barykadach w 1905... Walory dokumentacyjne, kronikarskie wszystkich sygnalizowanych tu książek są niewątpliwie. Nie umniejsza tego nawet fakt, że niektóre autorzy podają źródła swoich informacji — inni nie. Faktem jest jednak, że w tego rodzaju kronikar-

(Dalszy ciąg na str. 9)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Kiedy w kwietniu 1968 r. kładziono kamień węgielny pod budowę, obecny sekretarz propagandy KZ PZPR, **Szymon Maciejewski**, był w wojsku, ale pamięta początki: śnieg w nieoszlonych halach, ludzie pracujący w waciakach. **Grzegorz Cieślczko**, przewodniczący zakładowego ZMS, pracował tu jako mistrz. Wspomina z humorem te sterczące w polu słupy pod hale i... kulig dla pionierów z ZMS-owskiego zaciągu...

Różnie bywało, o tym zresztą powiedzą inni, ale faktem jest, że 22 lipca 1970 roku przecięto wstęgę i nowy „Strzelczyk” ruszył z produkcją. Nowy pod każdym względem. Inne warunki, nowe maszyny, nowi, młodzi ludzie. 70 proc. załogi to młodzież. Tamten „Strzelczyk” z ul. Wólczńskiej zostanie zburzony. Zanikają dawne nawyki, sposób myślenia. Dzisiaj ludzie wstydzą się rzucić szmatę, papier śniadaniowy na podłogę. Za czym jest w nowym zakładzie, to nie tamta ciasnota i brud z Wólczńskiej. Produkcja ta sama: wszystkie asortymenty szlifierek, dla kraju i na eksport, o wartości towarowej 392 mln zł rocznie.

Nowy „Strzelczyk” to 1200 ludzi pracujących nowoczesnie, „z głową”. Można się o tym przekonać, wędrując po przeciętych szynach halach produkcyjnych. Na wózkach części maszyn kształty nowych kadłubów. Wyście silników, chrzęst żelaza, specyficzny zapach tartego metalu. Ostra woń lakierów na wydziale lakierni, gdzie dokonuje się wstępnego gruntowania i na lakierni końcowej, gdzie w specjalnej komorze lakierniczej się ostatecznie gotowe maszyny.

Przemierzam wraz z sekretarzem Maciejewskim wydziały obróbki lekkiej i ciężkiej, montażu, oglądam szlifiereki unikalne, znakomite, lecz trudne w obsłudze maszyny. Ciężka praca, wszędzie żelazo i stal, szaro, metalowy, szary pył. Więc pewnie dlatego — aby uciec od szarości — młody 21-letni chłopak, **Jan Siemiński**, od czasu do czasu chwytą za akordeon i gra. To dla niego najlepszy relaks.

— Przyszedłem tutaj wraz z 30 pionierami i lipca 1969 r. Dlaczego? Ukończyłem ZSM, a to był największy zakład mechaniczny w Łodzi... Kto tutaj wytrzymał miesiąc, ten zostawał. Wielu połamano się, odeszło. Nie było jeszcze hali, tylko taka wiata na słupach. Latem fajnie, świeże powietrze, ale zima... Rano przy oknach zwisały sopie, maszyny rozgrzewało się półtorę godzinę. Staaliśmy przy maszynach w kufajkach, obok maszyn krażyły... sypczaczka, a wodę do mycia grało się w lokomotywie, która wjeżdżała na halę.

Siemiński zaczął od ciągnięcia metalowych prętów. Taki pręt ważył 700 kg, ludzie wnosili go przez wybitą w ścianie dziurę, bo na halę nie można było wjechać. Po miesiącu poszedł na frezarkę, potem do frezowania kół zębatach. Poznał wiele maszyn, dziś pracuje na unikalnej frezarce do kół zębatach.

— Janek to nie tylko dobry fachowiec — mówi Cieślczko. — Jest przewodniczącym ZMS na wydziale obróbki lekkiej, był delegatem na Zlot w Łodzi.

Są na wydziale młodzi ludzie, którzy chcą pracować, ale warunki zdrowotne im nie pozwalają, więc przewodniczący szuka im lżejszej roboty. Bo trzeba pomóc dziewczynie, która ledwo nosem sięga do maszyny, albo zmiennikowi, który choruje na stawy. Kierownik też pomoże, równy chłop ten **Sosnowski**, z tytułem najlepszego wychowawcy młodzieży. Są jakieś kłopoty w domu, naręczona stroi fochy, to chłopaki walą do niego albo do Siemińskiego. Co by chciał zmienić? Skrócić

te cholerną bieganinę z kartą obiegową.

Siemiński trochę się wierci, widąc, że chciałby już uciekać. Spieszy się do szkoły, do technikum. Na telewizor nie ma czasu popatrzeć, bo cztery razy w tygodniu od 6.00 do 20.00 jest poza domem. Warto się tak męczyć? Warto, bo zarobki większe, życie idzie do przodu, trzeba wiedzieć jak się pracuje i po co się pracuje.

— No i wie pan, wstyd zostawać w tyle, za sobą, która jest technikami-technologiem...

Do technikum uczeszcza również **Adam Woźniak**, a **Henryk Zapisek** rozpoczyna studia na WUML. Zapisek to ciekawa postać, wszystkie



Adam Woźniak

dni jego życia są odbiciem zmian zachodzących w nas i wokół nas. Maciejewski powiedział o nim: były przewodniczący ZMS, delegat na IV Zjazd, odznaczony **Brązową Odznaką im. Janka Krasickiego**, tytułem zasłużonego pracownika zakładu, i sekretarz POP.

Zapisek jest jasnowłosym, 34-letnim mężczyzną, mówi szczerze, wylewnie. On się niczego nie wstydzi. Ze go milicja ciągnęła po urzędach nim się na dobre zaczęli u „Strzelczyka”? Tak, nie załatwił spraw międzupokowych, mieszkając kątem u znajomych w Lagiewnikach. Kolarzem chciał zostać, wiele kilometrów przepeładował w LZS, ale bez wyników. Miał wtedy 17 lat, kiedy opuszczył bezrolną, wyrobniczą rodzinę w Łowickiem i przywędrował za chlebem do Łodzi. Pomogli koledzy, którzy już pracowali u „Strzelczyka”, przyciągnął i opiekował się nim w pierwszych latach Sosnowski. Przez rok zamiatał salę, dźwigał ładunki w transporcie, nauczył się trochę jeździć wózkami akumulatorowym i jako poborowy zrobił prawo jazdy. W wojsku zaczyna się jego kariera. Uczy się, dużo czyta, wstępuje do partii. Po odbyciu służby, z licznymi dyplomami, wraca do zakładu. Uczy się. Kończy przyzakładowy kurs mistrzowski, potem technikum.

Są takie stanowiska pracy, gdzie maszyna nigdy nie zastąpi człowieka. Słuszarza — skrobaczka obowiązuje precyzja i dokładność. Zapisek jest w swojej specjalności nieocenionym fachowcem. Przy pasowaniu części obowiązuje dokładność w mikronach. Robota spartaczona to zatarte łożysko, puszczanie braków przez maszynę, reklamacje. Zapisekowi to się nie zdarza. Pracuje metodą **DO—RO**, sam kontroluje swoją robotę.

— Złzyłem się z ludźmi i zakładem — mówi Zapisek — starałem się ich wystuć i zrozumieć, a wtedy i ja znajduję u nich zrozumienie. A co by jeszcze zmienić w naszej pracy? Wie pan, liczą się efekty ekonomiczne, ale wydaje mi się, że więcej uwagi powinniśmy poświęcać estetyce. No, żeby te nasze maszyny wyglądały jak cacka. Można by było więcej sprzedać...

Gdyby mnie ktoś spytał, czy z krawca może być do-

ŚPIEW ŻELAZA I ASTRY

bry szlifierek, nie wiedziałbym, co odpowiedzieć. Bo Cieślczko mówi:

— Na najbardziej dokładne, unikalne szlifiereki idą najlepsi.

A przy takiej szlifierece stoi **Adam Woźniak**. Wysoki, smagły mężczyzna. Śmieje mu się oczy, gdy mówi:

— Tak, ja byłem krawcem! Przyszedłem tu w 1959 r. z Kieleckiego.

— Ale dlaczego? — Bo robota, rzecz by, damśka, taka delikatna. I nudna. A mnie pociągała nowoczesność, technika.

— I od razu pan się przyjął w nowym zawodzie? — Gdzie tam! Nie miałem pojęcia co to takiego te zakłady mechaniczne. Siedziałem przy centymetrze, a tutaj mikrony! Nie mogłem pojąć, że milimetr może się dzielić na jeszcze mniejsze jednostki. Czym i jak wymierzyć te mikrony?...

W trakcie przyuczania do zawodu nie raz pomyślał,



Henryk Zapisek

żeby rzucić to wszystko w cholerę i wrócić do czystej roboty przy igle.

— Ale ambicja nie pozwalała — wyjaśnia. — Tytuł młodych pracowało, nie ustępowało. Gdyby nie Sosnowski, który wciąż powtarzał: „Nie lam się, Adas, będa z ciebie ludzie”, to kto wie, czy bym wytrzymał...

Od tamtego czasu zdążył 10 lat przepracować na tokarce i dwa lata być instruktorem dla nowo zatrudnionych. Opanował do perfekcji unikalną szlifierkę, na której wykańcza się śruby i gwinty. Odpowiedzialna robota — zębny ruch ręką, przyciśnięcie nie tego guzika i maszynę za kilka milionów może szlag trafić.

— U nas obowiązuje samokontrola. Dniówka zadaniowa. Znaczą, norma musi być wykonana i nikt nie ma prawa się ociągać. Kiedy w produkcji coś nie gra, sprawę natychmiast przedstawia się kierownikowi. To najlepszy sposób likwidowania niedociągnięć, tak na żywo, bo pamięć ludzka nie zawsze dopisuje.

Woźniak złożył kilka wniosków racjonalizatorskich, związanych z oszczędnością materiałów. Teraz myśli nad tym, jak... odczytać się spania. Wprawdzie ma 35 lat, młody może wiele znieść, ale żony i domu nie wolno zaniedbywać. A tu praca w Egzekutywie KZ, członkostwo Plenum KD PZPR, zasiadanie w sądzie jako ławnik i nauka w technikum wieczorowym. Jednak w środę 3 października zrobił sobie święto, bo te mecze pucharowe trzeba było obejrzeć.

— Kaczmarek też kiedyś kopał piłkę — zauważa Maciejewski.

Tak, szmaciankę na podwórku! — prostuje **Bogdan Kaczmarek**. Jest trochę onieśmiałony rozmową. Bo co tu gadać? Rodzina robotnicza, w miękaniu ciasno i biednie. Miał te ciągłotki do techniki, pewnie. To światło „naprawił”, to spadł z kredensu, ja! to chłopak. Chciał się uczyć, ale kiedy ojciec zachorował, nie było warunków po temu. Przeto on, rówieśnik Polskiej Ludowej, jako piętnastoletni smyk przyszedł do fabryki i pracując uczył się jednocześnie w ZSM.

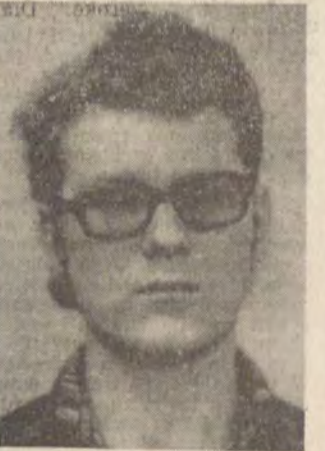
Do dziś pracuje w tej samej brygadzie, na montażu, tyle że już jako brygadzieta.

— Pan chyba jak nikt zna swoich ludzi? — pytam.

— Jasne! Jak mogę, tak pomagam chłopakom, wielu sam sobie wychowałem. U nas wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. Same porządne chłopaki, choćby taki Słowiński, Kumiłek czy Kulawik. Chce któryś iść na urlop, to wszyscy uzgadniają, czy go puścić. I wtedy każdy zwiększa wysiłek, żeby odrobić za kolegę.

— A gdyby komuś nie bardzo chciało się przykładać do roboty?

— Niemożliwe! Bierzymy takiego na rozmowę i tłumaczymy: „Słuchaj, stary chcesz u nas pracować, to się nie opiekuj! My myślimy nie potrzebujemy”. Tak się robi z przyuczonymi, bo kiedy przychodzi młody chłopak, postępuje się z nim delikatnie, pokazuje rysunki, objaśnia i wiele tłumaczy, żeby się chłopakowi podobało i żeby uwierzył, że w brygadzie pracują, porządni



Jan Siemiński

ludzie. I dlatego nie ma kłopotów z planem, 300 proc. normy zawsze się wyrobi, a kiedy trafi się trochę wolnego czasu, zyskujemy i porządkujemy narzędzia. Wszystko musi grać bo to przecież Brygada Pracy Socjalistycznej!

Na montażu maszyny robota precyzyjna, maszynę trzeba składać jak zegarek. Tylko, że części trochę większe, więc, chociaż są podnośniki, można sobie nieźle wyrobić mięśnie. Głowę jednak też trzeba mieć nie od parady. Sypią się wnioski racjonalizatorskie. Czego nie przewidział konstruktor, to się daje zauważyć w robocie. Choćby takie drobne, ale w życiu bardzo dokuczliwe usterki. W ostanie na silnik szlifierek były niepraktyczne, o dużej wadze metalowe wsporniki. Kaczmarek z kolegami zmniejszyli wagę i zastosowali lekkie, o wiele praktyczniejsze płaskowniki.

— Powiedz, Boguś, co ty jeszcze robisz poza tym swoim montażem? — zahacza Cieślczko.

Kaczmarek się wykręca, więc Cieślczko z Maciejewskim sypią jak z rękawa: przewodniczący ZMS na montażu, członek Plenum WRZZ, uczestnik Zlotu Młodych Przdowników, sekretarz POP. Piękny przykład dobrej roboty i społecznego zaangażowania.

Skończyła się zmiana, cisza w wielkich halach, pustka, martwota żelaza. Tylko ruch w szatniach. Ale na montażu jeszcze ktoś został. Jasnowłosy, młody człowiek w kraciastej koszuli pochyla się



Bogdan Kaczmarek

nad maszyną. Tak, to **Bogdan Kaczmarek**. Byłbym zapomniał napisać, że był inicjatorem budowania w czynie społecznym, ze zbudowanych części, szlifierek SWA—25, którą przekazano szkole przyzakładowej. W tym roku Kaczmarek zabiera się do budowy drugiej szlifiereki. A przecież powinno mu być śpieszno do domu, gdyż otrzymał wreszcie po latach upragnione mieszkanie i szkuje się do przeprowadzki...

Stoimy przed portiernią, Maciejewski mówi:

— Zakład planowano na 600 ludzi, teraz jest 1200, a będzie jeszcze więcej, kiedy wyburzą „Strzelczyka” na Wólczńskiej. Robi się ciasno. Dostaliśmy jednak 10 milionów i tu, na tym kawałku pustego pola, wybudujemy nową halę. A to — wskazuje piętrowy, cały w szkło budynek — nasza nowa stołówka, którą oddamy w sobotę do użytku.

Wychodzę za fabryczną bramę. Tuż obok krańcówki autobusu 64. Niezbyt dogodna linia. Ludzie śpieszą ścieżką przez łąki do krańcówki „3” i „21”, żeby jak najkrócej, przez tory kolejowe. A SOK-iści czekają... Z komunikacją tutaj jeszcze nie najlepiej.

Wracam krótszą drogą, do Przybyszewskiego. Za mną ten na wskroś nowoczesny zakład, a na wprost niego łąki, zagony kapusty, sterta zbutwiałej słomy, bielona chałupa pod strzechą...

Przy przejeździe kolejowym stara kobieta sprzedaje astry, upchane w dwóch wiadrach. Poznaję jedną z dziewczyn. Stała w kombinie przy szlifiere. Kupuje astry, bierze je w dłoń, które jeszcze niedawno były szare od metalowego pyłu, i przyciska do twarzy...

RYSZARD BINKOWSKI

Fot. W. Parys

WACŁAW MROZOWSKI

Ostatnia jesień

Już jesień, Polska jesień, która
gdy Szopen wichrem gra sonatę,
śmieje się do mnie poprzez kratę
ustami mego sobowtóra.

A gdy preludium w kropkach deszczu
dźwięcząc po szybach w uszach kona,
słyszę: wśród liści brzoź szeleszczą
złowrogie kroki Barleycorna.

I dalej słucham, lecz na próżno,
dalekie burze grzmiają wśród ciszy
i wierzyć nie chcę, żem podróżny,
co głosu Twego nie usłyszy.

Sześć lat temu, jesienią 1967 roku zmarł w Łodzi poeta
WACŁAW MROZOWSKI — autor wielu pięknych i wzru-
sających wierszy. Wacław Mrozowski pozostawił po sobie
wówczas sztuki, która fascynowała go olbrzymimi możli-
wościami dotarcia do najszerszej, masowej widowni. Wi-
dział w nim groźnego konkurenta prastarej sztuki teatru
i glosił nawet w polemicznym zapale rychłą śmierć kina,
w czym nie był wtedy odosobniony, ale sam do końca
pozostał jego najwierniejszym sługą i zagorzałym zwol-
nikiem.

PASJA WITOLDA WANDURSKIEGO

Teatr był jego pierwszą życiową pasją, tak w hierar-
chicznym jak i chronologicznym porządku, której nie zdo-
łał później przylumić nawet entuzjazm dla kina, młodej
wówczas sztuki, która fascynowała go olbrzymimi możli-
wościami dotarcia do najszerszej, masowej widowni. Wi-
dział w nim groźnego konkurenta prastarej sztuki teatru
i glosił nawet w polemicznym zapale rychłą śmierć kina,
w czym nie był wtedy odosobniony, ale sam do końca
pozostał jego najwierniejszym sługą i zagorzałym zwol-
nikiem.



Niezwykle zaangażowanie
Witolda Wandurskiego w
sprawy teatru poświadcza
najwymowniej wielość funk-
cji, jakie w nim pełnił: był
dramatopisarzem, reżyserem i
inscenizatorem, kierownikiem
kilku scen (charkowskiej,
łódzkiej, berlińskiej, kijow-
skiej i moskiewskiej), publi-
cystą i recenzentem teatral-
nym, nawet... scenografem i
aktorem. Już tylko to wyli-
czenie daje prawo do miana
człowieka teatru. Wśród ich
rzeszy Witold Wandurski jed-
nak wyróżnił się zdecydowa-
nie, miał bowiem także wlas-
ną koncepcję teatru, dostate-
cznie wyrażoną i pełną, aby
dawała mu ona również pra-
wo do miejsca w historii mi-
ędzynarodowego teatru.

Zamykamy to prawo w for-
mule: rewolucyjny teatr a-
wanguardowy, teatr polityczny
i publicystyczny. Jego załęczek
widział w amatorskim teatrze
robotniczym lewicę społecznej
i nad rozwijaniem i uszla-
chetnianiem owych zaczątków
z zapalem i energią pracował.
W istocie jednak trudno dzia-
łalność teatralną Witolda
Wandurskiego, zwłaszcza dla
rewolucyjnego teatru, robotni-
czego, zamknąć w określeniu:
praca, ponieważ o swoje idee
musiał on w tamtych, nies-
sprzyjających im latach, prze-
de wszystkim walczyć. Był
więc w tej sprawie także bo-
jownikiem i szermierzem, nam-
iętnym pasjonatem, odważ-
nym i wytrwałym, ale rzecz
jasna — jak w każdej dotk-
liwej klęsce. Nie brakło mu
gorzkich rozczarowań i pomy-
łek.

TEATRALNA EDUKACJA

Urokiem „teatralnej magii”
autor „Śmierci na gruszy”
uległ wcześniej, jeszcze w la-
tach szkolnej młodości, kiedy
dane mu było oglądać znako-
mite spektakle teatralne przy-
gotowywane w łódzkim teat-
rze przez Aleksandra Zelwe-
rowicza. Wyzna później, że
były one początkiem jego tea-
tralnej edukacji. Następny jej
etap miał już miejsce w Ros-
ji, gdzie wyjechał na studia
prawnicze i gdzie zetknął się
z trwającym już od kilkun-
stu lat ruchem teatralnej re-
formy, mającej na celu grun-
towną odnowę zakrzepłej w
rutynie sztuki teatru. Wystar-
czy wspomnieć wpisane na
trwale w jej dzieje nazwiska
tak wybitnych ludzi teatru,
jak Konstanty Stanisławski,
Wsewołod Meyerhold, Alek-
sander Tairow czy Jewgienij
Wachtangow. Szybko też w
aurze owego szczególnego o-
żywienia życia teatralnego
carskiej Rosji, dogorywającej
w podmuchach wojny i rewolu-
cji, w zainteresowaniach i
kierunku życiowej drogi mło-
dego łodzianina zaszły grun-
towne zmiany. Miejsce nie-
chętnie studiowanego prawa
zajmują studia i działalność
teatralna.

Reszty przeobrażeń dokona-
ła Rewolucja Październikowa,
która przed rosyjskim teatrem

postawiła nowe zadania. Po
jej stronie opowiedziało się
wówczas wielu wybitnych
reżyserów, manifestując swój
protest przeciwko sztuce bur-
żuazyjnej. Jednym z pierw-
szych był najbliższy Wandur-
skiemu Wsewołod Meyerhold,
twórca pierwszego teatru re-
wulucyjnego i niezwykle w sile
i w zasięgu ruchu „Teatral-
nego Października”. Widział
on w zwycięstwie rewolucji
ogromne perspektywy dla tea-
tru, które otwierała przed nim
nie tylko bogata tematyka
społeczności, ale także ma-
sowa widownia, zupełnie no-
wa i niezwykle chłonna. W
tym gwałtownie obudzonym,
bujnym ruchu teatralnym
Wandurski odnalazł swoje miejsce,
wyrażając tym swoją akcep-
tację „dla przemian dokonu-
jących przez rewolucję. Został
działaczem amatorskiego ru-
chu teatralnego; organizował
i prowadził zespoły i scenki
w oddziałach Armii Czerw-
onej, w miastach i wsiach ra-
dzieckiej Ukrainy, wiążąc się
na dłużej ze sceną charkow-
skiego klubu „Rajdzraw”
(1919-1921), gdzie inscenizo-
wał m.in. utwory Włodzimie-
rza Majakowskiego.

„POWRÓT DO KRAJU”

Z bogatym bagażem do-
świadczeń teatralnych powrócił
Witold Wandurski w 1921 roku
do kraju i rozpoczął reforma-
torską działalność w amato-
rskim ruchu teatralnym, dzie-
dzinie życia kulturalnego, sze-
rokiego mas nie otoczonej do-
tychczas zbytnią troską władz
i ludzi teatru. Osiadł na stałe
w rodzinnej Łodzi.

Wpisany w historię łódzkiej
sceny udział Wandurskiego na
późor jest niewielki: pełnił w
1922 roku funkcję „lektora” w
Teatrze Miejskim, prowadzo-
nym wówczas przez Zygmunta
Noskowskiego. Następny
dyrektor, Henryk Barwiński,
powierzył mu zadanie zorga-
nizowania przy teatrze Szkoły

Dramatycznej, co mimo du-
żych trudności sfinalizował.
Współdziałal ponadto w orga-
nizowaniu „poranków teatral-
nych” oraz przedstawień dla
robotniczej widowni.

To właściwie wszystko, jeśli
chodzi o związki Witolda
Wandurskiego z łódzką sceną
zawodową. Trudno jednak
oprzeczyć się wrażeniu, że nie
wyszczono jego możliwości,
talentu i energii, zapалу i in-
icjatywy, jakie przejawiał nawet
w tych powierzonych mu za-
daniach, a leżących na margi-
nesie głównego działania teat-
ru. Przede wszystkim nie
dano mu szansy zreali-
zowania ciekawych propozy-
cji. Między innymi pierwszy
zgłosił pomysł wystawienia
„Kniazia Potiomkina” Tadeu-
sza Micińskiego, czego dokonał
dopiero w 1925 r. Leon Schil-
ler. Był jak nikt wówczas w
Łodzi zorientowany we współ-
czesnych dążeniach teatralnej
awangardy. Jego inicjatywy
przekreśliła etykietka „bolsze-
wizm”. Przyjechał przecież z
Radzieckiej Rosji i nie ukry-
wał rewolucyjnych przekonań.

„SCENA ROBOTNICZA”

Toteż największym osiągni-
ciem teatralnym Witolda Wan-
durskiego w rodzinnym mie-
ście miała stać się amatorska
„Scena Robotnicza”, która z
jego inicjatywy powstała
wiosną 1923 roku przy Okrę-
kowej Komisji Związków Za-
wodowych. (Minęło 50 lat od
jej powstania). Kierownictwo
jej powierzono aktorowi Teat-
ru Miejskiego, Tadeuszowi
Leszczyńskiemu, a później Jerze-
mu M. Szałkiewiczowi, z którymi
Wandurski (formalnie tylko
zwykły członek zespołu)
współpracował jako autor wy-
stawianych sztuk i insceniza-
cji. Nie ograniczył się jednak
tylko do tej roli i był faktycz-
nie rzeczywistym kierowni-
kiem zespołu, jego nauczycie-
lem i wychowawcą, nie zawę-
żającym swojej działalności
tylko do nauki podstaw tea-
tralnego rzemiosła i wiedzy o
teatrze, lecz kształtującym
także ideowo-polityczne prze-
konania i postawę członków
zespołu, którego znaczny pro-
cent stanowili młodzi robotni-
cy.

Poprowadził go sam dopiero
wtedy, gdy w 1925 roku, po
wystawieniu jego „Śmierci na
gruszy”, zaniepokojone władze
zakazały jej dalszej działalno-
ści, zarekwirowały lokal z nowo-
cześnie (według propozycji
Wandurskiego) urządzoną sce-
ną. „Scena Robotnicza” zmu-
szona została działać konspi-
racyjnie, tułać się po przypad-
kowo wynajmowanych salach.
Ale dopiero wtedy zajął się
jej najciekawszy okres. Wy-
kryształował się właściwy styl
i charakter awangardowego
teatru robotniczego, proponu-
jącego nowoczesne rozwiąza-
nia inscenizacyjne i nowy styl
gry, oraz angażującego się
bezpośrednio w życie codzien-
ne i walkę rewolucyjną prole-
tariatu.

Brak stałego pomieszczenia
zmuszał zespół do całkowitego
uproszczenia inscenizacji,
zastąpienia dekoracji tylko
najniezbędniejszymi rekwizy-
tami i parawanami. Przygato-
wywano najczęściej programy
składane z kilku drobnych
utworów, zwykle patetyczno-
rewolucyjnych wierszy i sa-
tyrycznych scenek o politycz-
no-społecznej wymowie. Skła-
dały się na nie inscenizacje
wierszy i poematów Włady-
sława Broniewskiego, Stan-
sława R. Standego i Bruno
Jasieńskiego oraz Włodzimie-
rza Majakowskiego, którego
„Prolog” do „Misterium buf-
fo” otwierał każdy wy-
stęp „Sceny Robotniczej”, a
także „uwpółsceniane” frag-
menty „Róży” Stefana Żerom-
skiego, prozy Władysława Or-
kana czy nawet dramatów
Szekspira. Największym osią-
gnięciem i zarazem sukcesem
zespołu było w tym czasie
wystawienie nowej sztuki
Wandurskiego „Gra o Herod-
dzie”, satyrycznego „mięso-
pustu proletariackiego” napisa-
nego dla „Sceny”.

HELENA KARWACKA

„Drobiaz ten — zanotował
Wandurski — pisany dorywczo
w stylu agitacyjno-plakato-
wym, kawałkami, od próby do
próby, wskazał nam drogę,
jaką powinien iść w dobie
obecnej repertuar scen robot-
niczych. Aktualna satyra po-
lityczna, traktowana po dzien-
nikarsku, plakato, daje jak
się okazuje najszersze pole
zastosowania odrębnych spo-
sobów gry aktorskiej”.

Zarzucono wówczas w
„Scenie” dawne ekspresjon-
istyczne sposoby gry i insce-
nizacji, zwracając się ku sec-
nicznemu konstruktywizmowi,
do którego zapalił się jej kie-
rownik, poszukujący stale no-
wych środków wyrazu. Praca
zespołu poszła mimo woli „po
linii zamkniętego studio
eksperymentalnego”. Nad
przygotowaniem każdego spek-
taklu pracowano „możliwie i
długo”, próbując szeregu
ujęć reżyserskich i aktorskich.
Towarzyszylimy tym poszuki-
waniom dyskusje: „co docie-
ra, a co nie dociera do wi-
dza i jak (...) widz prole-
tariacki reaguje na formy gry
i inscenizacji”. Rzadkie wy-
stępy „Sceny Robotniczej”
były w tym czasie głośnymi
w Łodzi manifestacjami no-
wej sztuki rewolucyjnej.

MIEJSCE W TRADYCJI

Witold Wandurski świa-
domie wyznał, że nie chciał
poprzestać na półśrodkach i
pólkosmetykach; jego eru-
dycja teatralna i wyobraźnia
sceniczna podsuwały mu co-

raz to nowe pomysły, które
chciał sprawdzić i wypróbo-
wać. Był przekonany, że tyl-
ko amatorska scena może być
najlepszym gruntem tych eks-
perymentów i poszukiwań, że
tylko ona może doprowadzić
do najwłaściwszego artystycz-
nego modelu teatru prole-
tariackiego. Była to praca ob-
liczona na lata, zakładała bo-
wiem jednocześnie gruntowne
przeobrażenie „estetycznych u-
padków proletariatu”. Pracę
tę zaledwie rozpoczął. Po jego
aresztowaniu w 1928 roku nikt
w Łodzi nie był w stanie jej
kontynuować. Nie była łatwa
również popularyzacja jego
osiągnięć, mimo to miał
wpływ na działalność wielu
tego typu placówek w Łodzi
i w Warszawie, a także poza
granicami kraju, np. w Pa-
ryżu, gdzie Bruno Jasieński
prowadził przez czas jakiś
amatorski teatr dla polonii ro-
botniczej.

Swoją działalnością teatralną
w Łodzi, pozostającą w isto-
cie poza nurtem oficjalnego
życia teatralnego, potrafił Wi-
told Wandurski zainteresować
także teatralny parnas mi-
ędzynarodowego dwudziestolecia.
Dowiedł przekonująco, że
sprawa robotniczego teatru
nie jest tylko pilnym zada-
niem epoki, ale że pora już
potraktować ją inaczej i wy-
dobyć z marginesu działań
teatralnych. Sam był przeko-
nany, że z robotniczego teatru
wyrośnie kiedyś, gdy prole-
tariat zdobędzie władzę, nowy
teatr przyszłości. Brzmiały w
tym echa bliskich mu prole-
tariackich przekonań. His-
toria dokonała korekty nie-
których, nie wolnych od dok-
trynalnych zacieknień, poglą-
dów Wandurskiego, w niczym
jednak nie umniejszając wagi
i znaczenia jego pionierskich
poszukiwań.



WITOLD WANDURSKI — rysunek własny

NASZE OSIĄGNIĘCIA, NASZE REZERWY

(Dalszy ciąg ze str. 7)

szkadzka w wyborze najlep-
szych, a jednocześnie naj-
bardziej opłacalnych rozwią-
zań.

A. DĄBROWA: — To
sprawdzanie się w przy-
szłości ma jednak dwojakie
znaczenie. Z jednej strony
to będzie pytanie, za ile lat
nowe maszyny zwrócą na-
klad, jakie poniesiono przy

ich zakupie i instalacji. I z
drugiej — w jaki sposób
przyczynią się one do dal-
szego postępu.

Przemysł lekki przechodzi
obecnie intensywną moder-
nizację. Sprowadza się nowe
maszyny, wprowadza się no-
woczesne technologie, su-
rowce. Wszystko to czyni się
z myślą o lepszym zaopa-
trzeniu rynku i z myślą o
poprawie warunków pracy.
Chodzi przecież o to, aby
dzięki nowoczesnej techni-

ce można było przy mniej-
szym wysiłku dać więcej i
lepszych towarów na rynek
w kraju i dla zagranicznych
odbiorców. Czy w tym pro-
cesie zawsze pamięta się o
tych czynnikach, o któ-
rych mówiliśmy przed chwilą?
Jeszcze chyba nie zaw-
sze. A unikanie pomyłek, to
czyha też jakaś forma re-
zerwy.

J. WIŚLICKI: — Moder-
nizacja przydałaby się i in-
nym przemysłom. „Elta” na

przykład czeka na odm-
łodzenie parku maszynowego.
Ale rozumiemy, że i na nas
przyjdzie kolej i dlatego ter-
az musimy stawiać na te
wszystkie dziedziny działa-
nia, które usprawniłyby na-
szą pracę w istniejących
warunkach. Co nie znaczy,
że nie myślimy o przyszło-
ści.

Z. OWCZAREK: — Myślę,
że nasze wysiłki, może jesz-
cze niedostateczne, przynio-
są więcej dobrych rezulta-

tów, jeśli jednocześnie z do-
skonałeniami organizacji pra-
cy, modernizacją i wprowa-
dzeniem postępu dokona się
unowocześnienie metod zar-
ządzania, bo choć o tym nie
mówiliśmy, to i tu znajdują
się ogromne rezerwy.

J. ROSIAK: — Krajowa
Konferencja Partyjna wska-
że dalsze kierunki działania,
co pozwoli nam jeszcze sku-
teczniej usprawnić pracę,
pełniej wykorzystywać do-
strzeżone rezerwy. Do zro-

wienia mamy bardzo dużo,
jeśli chcemy przyspieszyć re-
alizację zadań bieżącej pię-
ciolatki.

„ODGŁOSY”: — Tym bar-
dziej, że dyskusja nad na-
szymi powszednimi sprawa-
mi nie kończy się. Szukanie
najlepszych, najbardziej sku-
tecznych sposobów działania
będzie zawsze aktualne.

Opracowała:
BOGDA MADEJ

„CZWARTA FAZA”

Amerykańska ekonomika staje wciąż przed nowymi problemami, będącymi następstwem błędnej polityki minionych lat. W kraju następuje bezprecedensowy wzrost kosztów, utrzymania; podrożały wyroby przemysłowe, produkty żywnościowe, usługi.

Jest to, m. in., konsekwencją całego kompleksu procesów ekonomicznych, jak osłabienie walutowych i finansowych pozycji USA na arenie międzynarodowej, utrata uprzywilejowanej pozycji dolara, walka konkurencyjna innych krajów kapitalistycznych z amerykańskimi kompaniami itp.

Próby rządu, zmierzające do oparcia ekonomiki na mocnych podstawach, głównie drogą realizacji kolejnej, „czwartej fazy” stabilizacji ekonomicznej, nie przynoszą dotąd oczekiwanych wyników. Istnieje raczej mało podstaw, by sądzić, iż ta kolejna operacja ratunkowa zostanie uwieńczona większym sukcesem.

Zaledwie w kilka godzin po wprowadzeniu w życie formuł ekonomicznych „czwartej fazy”, w całym kraju wzrosły gwałtownie ceny płacwa domowego, wierzchni, mleka i innych produktów żywnościowych.

Na rynkach Środkowego Zachodu USA ceny wierzchni podskoczyły do rekordowej wysokości. W Nowym Jorku wzrosły ceny hurtowe jacek, w San Antonio, w stanie Teksas, znana firma przetworów mlecznych „Associated Milk Producers”, poinformowała konsumentów o 10-procentowej podwyżce cen w dwudziestu zachodnich Stanach USA. Wielka firma „Foud Stores”, która prowadzi handel artykułami spożywczymi w Jackson (Missisipi), podwyższyła ceny około trzydziestu asortymentów produktów żywnościowych.

W najbliższych tygodniach należy oczekiwać dalszego podwyższenia cen. Sondaż sytuacji w sklepach spożywczych, przeprowadzony przez redakcję gazety „U. S. News and World Report” w siedmiu wielkich miastach USA wykazał, iż ceny niemal wszystkich produktów żywnościowych, cieszących się dużym popytem, gwałtownie wzrosły w porównaniu z rokiem ubiegłym.

W Houston funt bekonu kosztuje dziś o 30 procent więcej, w Atlancie funt wółowiny podrożał o 38 centów. W San Francisco funt pomidorów jest droższy o 20 centów.

Zezwolono na podwyższenie cen na benzynę, na paliwo do silników Diesla i kotłowni centralnego ogrzewania, podrożały czynsze za mieszkania, opłaty za energię elektryczną, za wodę, gaz i telefony. Poszła w górę cena za usługi lekarskie, w tym również stomatologiczne. Opłata za leczenie szpitalne może wzrosnąć o 6 procent w przeciągu roku. Ogólnie rzecz biorąc koszty utrzymania znacznie wzrosły.

Jak informuje „New York Times” turyści, którzy odwiedzają słynne Wybrzeże Rybackie w San Francisco, pragnąc skosztować darów morza w miejscowej restauracji, stwierdzają na własne sakiewce, że skromny posiłek dla rodziny z czterech osób kosztuje blisko 30 dolarów, to jest około 3 dolary drożej, niż ubiegłego lata.

Bilet wstępu do parku Disneyland, w południowej Kalifornii kosztuje 4 dolary, więc o 50 centów więcej, niż w ubiegłym roku.

W Miami, w restauracji „Tasca”, danie firmowe z kurczaka kosztowało w ub. roku 2 i pół dolara. Tego roku kosztuje 3 i pół dolara.

W mieście Missoula, w stanie Montana, turyści, jeszcze na początku tego lata, stwierdzili, że obuwie i odcież turystyczna są o 20 procent droższe, niż w minionym roku. A bęsztyk w niewielkiej restauracji, w której zazwyczaj jadają turyści, do niedawna jeszcze w cenie 3,75 dolara, kosztuje obecnie 4,25 dolara. Amerykanie widzą, że tego roku wypocznik, jak zresztą prawie wszystko, znacznie podrożał.

Z wywiadów przeprowadzonych przez redakcję „New York Timesa” w 12

miastach i miejscowościach wypoczynkowych, w różnych rejonach kraju, wynika, że wielu Amerykanów, zaniepokojonych wzrostem cen i brakiem stabilizacji ekonomicznej, skraca swoje urlopy i że coraz więcej ludzi spędza je w domach. Niekiedy lękają się podróży samochodami z powodu „braku benzyny”, o czym ostatnio tak dużo się mówi i pisze.

Chociaż właściciele wielu moteli, kurortów i restauracji twierdzą, że nie podwyższali cen tego lata, dane opublikowane w „New York Timesie” wskazują, iż w porównaniu z rokiem ubiegłym turystyka podrożała w granicach 5—10 procent.

Urlopowicze płać drożej nieomal za wszystko — za benzynę, za bilety lotnicze, za wynajęcie łodzi motorowej itd. Dane statystyczne z ostatniego miesiąca lata wskazują, że, w porównaniu z tym samym okresem ub. roku, liczba urlopowiczów odpoczywających poza domem znacznie zmalała.

„Motele, wyżywienie, benzyna, przejazdy, dosłownie wszystko podrożało więcej niż przypuszczaliśmy” — twierdzi William Johnson, mechanik ze stanu Minnesota, który z żoną i dwójkiem dzieci przyjechał na odpocznik do San Francisco. Dodał on: „Jestem zadowolony, że przyjechalśmy tego lata, wyobrażam sobie, jakie ceny będą za rok”.

Businessman z Seattle Halverson spędził z żoną cztery dni w San Francisco. Odpowiada na pytanie gazety „New York Timesa”: „Niektóre ceny są wprost zwariowane. Na Wybrzeżu Rybackim, na przykład, nie można zjeść taniej niż za 7—8 dolarów. Za pokój w hotelu zażądano od nas 42 dolary za jeden dzień; musieliśmy się zatrzymać w innym, gdzie płaćliśmy 28 dolarów”.

Czerodniowy wypocznik tych dwojga osób, nie licząc wydatków na przejazd, kosztował około 325 dolarów.

Poza małymi wyjątkami, dane opublikowane na łamach „New York Timesa” wskazują, że w skali kraju cena pokoju w motelu za jeden dzień pobytu wzrosła średnio od 1 do 3 dolarów, w porównaniu z cenami z ubiegłego roku.

Hotele w Disneyworld, niedaleko Orlando, na Florydzie, podniosły w ubie-

głym roku ceny za pokój — z 20 dolarów do 35, a w tym roku — z 35 do 45 dolarów za jeden dzień. W parku narodowym, w południowej części stanu Utah, wynajęcie trzyosobowego domku campingowego kosztuje w tym roku 20 dolarów za dobę, zamiast 15 dolarów w 1972 roku.

Rosemarie Elvin, właścicielka pensjonatu w górskim kurorcie w stanie Arizona, podwyższyła tego roku opłatę za jednoosobowy pokój z 12 do 14 dolarów za jeden dzień pobytu. Odpowiada na pytanie reportera „New York Timesa”: „Jest to zło konieczne. Za ogłoszenia muszę płać o 10 procent więcej, za galon (3,5 l) benzyny płać o 5 centów więcej, wywiezienie śmieci kosztuje teraz nie 12 a 25 dolarów miesięcznie, a upranie jednego prześcieradła podrożało o półtora centa”.

Wyjaśniając ideę „czwartej fazy” prezydent Nixon powiedział: „Z kontrolą, czy bez kontroli, nie ma żadnej możliwości zapobieżenia znacznemu wzrostowi cen na produkty żywnościowe”.

Oświadczeniu o „czwartej fazie” towarzyszyły decyzje, zmierzające do zwiększenia podaży szerokiego asortymentu nowych towarów. Ministerstwo rolnictwa zniósł wszystkie ograniczenia dotyczące arealu gruntów uprawnych. Rząd zezwolił także na dodatkowy import 80 milionów funtów mleka w proszku, a ponadto polecił komisji taryfowej USA zbadać możliwość całkowitego zniesienia kwot importowych na mleko w proszku.

Braki w zaopatrzeniu w produkty żywnościowe odczuwa się w całych Stanach Zjednoczonych, jednakże w niektórych rejonach kraju są one szczególnie uciążliwe.

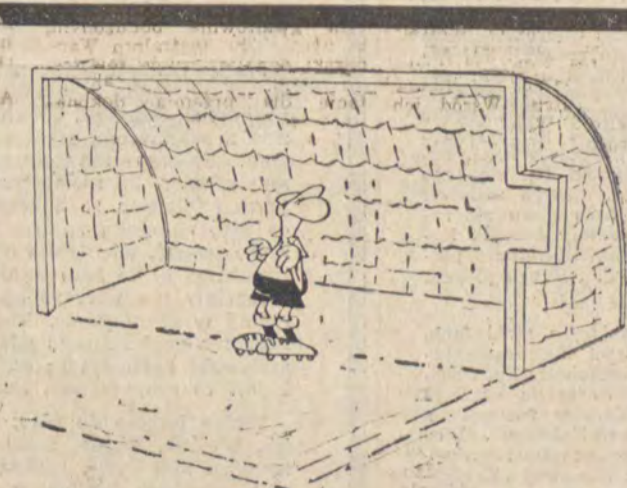
W Michigan stanowy urząd gospodarki rolnej uprzedził ludność stanu, że

należy oczekiwać deficytu produktów mlecznych, warzyw i owoców. Na wschodzie USA, firmy produkujące konserwy mięsne poinformowały, że niedawne decyzje rządu o niepodwyższeniu cen zmusiły je do okresowego wstrzymania dostaw konserw na rynek. Przedstawiciel dużej firmy wyrobów spożywczych w San Francisco wyraził opinię, iż nie należy oczekiwać szybkiej zmiany na lepsze.

Gazeta „U. S. News and World Report” zwraca uwagę na fakt, że kompaniom po raz pierwszy zezwolono użyć „braku stabilności ekonomicznej” jako argumentu na podniesienie cen ponad dozwolony poziom. Kompanie samochodowe: „General Motors”, „Chrysler” i „Ford” wystąpiły z oświadczeniem, że nie oświadczyły uzyskać zezwolenia na podwyżkę cen nowych modeli samochodów, produkowanych w 1974 roku.

Niektórzy ekonomiści, obawiając się dalszych niekorzystnych zjawisk ekonomicznych w 1974 roku, uważają, iż nowe środki kontroli „czwartej fazy” zwiększają tę groźbę. Inni eksperci, a także niektórzy działacze związkowi narzekają, że „czwarta faza” nie jest dostatecznie elastyczna. Benton Ghan, ekonomista z uniwersytetu w Thalsa, określił nowe formuły ekonomiczne jako „farsę” i dodał, iż „wskazują one na złe sterowanie ekonomią”. Milton Friedman z uniwersytetu w Chicago nazwał „czwartą fazę” — „katastrofą”, a Donald Bouilly, główny ekonomista kompanii bankowej „Bankers Trust” zwrócił uwagę, że „system kontroli nie będzie działał efektywnie w atmosferze dużego popytu i niedostatecznej podaży”.

J. CZECH



MOZAIKA ŁÓDZKICH KSIĄŻEK

(Dalszy ciąg ze str. 7)

skich publikacjach konieczne są przypisy i bibliografia. Ale oczywiście zbyt wiele wymaga od wydawcy, skoro książka Babińskiego nie ma nawet... spisu rozdziałów. Dobrze natomiast, że wszystkie te książki wyszły w identycznym formacie, źle jednak, że wyszły w identycznym nakładzie, 2 tys. egzemplarzy. Przeproszam, felieton Wacława Pawlaka ma 3 tysiące. Dlaczego jednak „kryminal” Urbankiewicza wydawca uznał za mniej czytelnicy od felietonów historycznych, pozostanie na zawsze tajemnicą.

Irytuje się często, gdy słyszymy głosy, że brak książek o Łodzi. Wiemy bowiem, że są. Głosy te jednak są o tyle uzasadnione, że przeciętne 2 tysiące egzemplarzy na 800-tysięczne miasto (samych członków Towarzystwa Przyjaciół Łodzi jest bez mała 20 tysięcy), to ilość śmieszna. Tak więc książek o Łodzi istotnie nie ma.

Mówi się także, że Łódź jest miastem bez „poetyckiej urody”, że poeci nie kochają tego miasta, nie piszą o nim. I znów — prawda i nieprawda. Prawda, bo od 30 lat nikt się w Łodzi nie zdobył na wydanie antologii wierszy o tematyce łódzkiej. A nieprawda, bo jest ich, zdziwicie się? — setki. I to wiele naprawdę wysokiej próby. Tylko skąd może o tym wiedzieć czytelnik, skoro wiersze te rozproszone po czasopiśmie i zbiorach poetyckich nie zostały zebrane w jedną solidną antologię.

Naprawdę piękna mozaika komponuje się nam z książek pisarzy i dziennikarzy, którzy temu miastu poświęcili pióro. Wierzę, że będzie coraz więcej elementów tej barwnej mozaiki, wierzę też, że nie zabraknie w niej książki poetyckiej.

JERZY WILMAŃSKI

SŁÓW KILKA SERDECZNYCH

O jubileuszach można uroczysto, statystycznie i postulatycznie, jeśli jubilat nam znany i bliższy, można po prostu serdecznie, bo na dyskusje, krytyki i życzenia było wcześniej dość czasu, a i wiele go jeszcze przed nami. Jubilatka, której 25 lat działalności dziś obchodzimy, była zaś niejednokrotnie bohaterką rozważań w piśmie naszym podejmowanych. Działo się to wówczas, gdy mówiliśmy o sztuce, jeszcze częściej, gdy tematem była nauka i wiedza — ich przekaz i popularyzacja. Na kulturalnej i oświatowej a także naukowej mapie czas nasz wyznaczył tej placówce miejsce, którego zabrać już nie można. Inna sprawa, iż jego lokalizacja ciągle jeszcze jest nietrwała, iż chętnych jest wielu, lecz niezdecydowanych równie tyle. Komu służyć ma głównie — jeśli nauce i oświacie, to czemu rzecz inwestuje i moralnie wspiera głównie kultura? Czemu mądra koegzystencja i światło programowanie ciągle jeszcze w sferze futurologii pozostaje?

Póki co, ci, którzy w tym punkcie na mapie znaleźli miejsce dla siebie, czynią swe dzieło. I choć efekty ich pracy, jest ich przecież bardzo wielu, różne bywają — trudno sobie bez ich filmów wyobrazić dziś wiele dziedzin społecznej życia. Nie chodzą w blaskach artystycznej sławy, nazwiska ich nie są magnesem ścigającym do kin publiczność, a przecież w tej grupie

ludzi, których miejscem pracy jest Wytwórnia Filmów Oświatowych, są nazwiska wybitne. Mają one jednakowoż, jeśli tak rzec można, charakter branżowy — znani są w technice i medycynie, w oświacie i kulturze. Jedni związani są z Wytwornią od początku jej istnienia, inni przyszli niedawno i może pozostaną tu na stałe tak, jak ich starsi kole-dzy. Warto tu może, właśnie

jubileuszowo, wspomnieć raz o sprawie, o której w roboczych rozważaniach o realizatorach i filmach WFO nigdy nie mówimy. W mury tej Wytwórni przed laty wchodził, po dziś dzień chyba tak się dzieje, ludzie, którym marzyła się sława wielkich mistrzów kina — w społecznej świadomości jest to sława fabularnego kina, ono może być Sztuka. Dla wielu wytwórnia na Kilińskiego była i zapewne jest miejscem przejściowym czy miejscem startu, wielu w niej zostało i jeszcze zostanie z wyboru, nie z konieczności. Złapali bakcyli, który nie ideą Wielkiej Sztuki ich zaraził, ich domeną stała się „sztuka użytkowa” — jeśli tej przenośni w odniesieniu do ich filmowej działalności użyć można.

W toku pracy zdobyli pewne specjalizacje, wymagające wiedzy, wychodzącej poza zawodowe, filmowe i tylko kwalifikacje. Ich rozpiętość jest ogromna — świat nowoczesnej techniki, medycyny i mikrobiologii, psychologii i pedagogiki, świat sztuki wreszcie, która w tych filmach żyje swym nowym życiem, odczytana na nowo, lecz przedstawiona z duchem oryginału. Tysiące pułapek merytorycznych i metodycznych, a także świadomość potrzeby wewnętrznej dramaturgii przekazu, zachowania piękna przy

konieczności filmowej transkrypcji. Nowoczesna wiedza i nowoczesna dydaktyka, potrzeba tej wiedzy i tej umiejętności, pomoc naukowych konsultantów i pytania o autorstwo, o własny, prywatny wkład. Dużo pracy i brak szerokiej publicznej satysfakcji, z tym ostatnim chyba pogodził się najtrudniej. Po trosze rzecz zaliczają festiwale, przeglądy i kolaudacyjne oceny, rzadziej recenzje i omówienia. Wydaje się, że w przyszłości warto by poznać dalsze losy swych filmów, opinie i reakcje ich odbiorców — właśnie z satysfakcją dla siebie i pożytkiem dla dalszej swej pracy. Krag zainteresowań, a tym samym kierunki pracy zespołu WFO są wielostronne. Przy dominacji filmu oświatowego jako zadania głównego w Wytwórni tej istniał zawsze nurt filmów społecznych, dokumentalnych, artystycznie eksperymentujących. I tak chyba zostać powinno, o tym decydują indywidualności ludzkie w zespole tym zebrane.

Z Wytwórni Filmów Oświatowych wyszli przed laty na przykład Wojciech Has i Janusz Nasfeter i zapewne jądą, dziś jeszcze nieznaną, ludźmi filmu fabularnego. W Wytwórni tej pozostali jednak tacy reżyserzy, jak: Józef Arkusz, Stanisław Brzozowski, Stanisław Grabowski, Aleksan-

dra Jaskólska, Karol Marczak, Bogdan Mościcki, Jerzy Popiel-Popielek, Witold Powada, Wanda Rollny, Józef Skrobiński, Mieczysław Vogt, Jadwiga i Witold Żukowscy i wielu innych, których nazwiska i filmy prezentowaliśmy wielokrotnie. W wytwórni tej pracują znakomici operatorzy, jeśli wspomniemy tylko nazwiska Janausza Czecha, Bogdana Dziworskiego, Stanisława Mroziuka, Stanisława Śliskowskiego i Andrzeja Waltera. Lista mogłaby być długa, a przecież redaktorzy, montażyści i dźwiękowcy nie zamykali by jej jeszcze. Mało kto może wie o tym, że pewne sukcesy naszych filmów oświatowych osiągnęto dzięki wynalazczości i pomysłowości sztabu realizatorów z pracowni techników specjalnych — królestwa inżyniera Jana Susłowskiego. W pracowniach tych brakuje sprzętu, na którym świat dziś pracuje — wynalazczość jest świadectwem postępu, lecz nie wolno dopuścić do tego, by była koniecznością wynikłą z zastoju.

Zyczyć by więc warto, by WFO stworzone wcześniej niż na pięćdziesiąt lat, techniczne zaplecze godne zadań, które przed nią stoją — by wynalazcze talenty pracowały na konto doskonałości, a nie zastrzeżenia. Zyczyć by trzeba, aby pogłębianiu specjalizacji

towarzyszyła wyobraźnia, odkrywająca dla filmowych modeli przekazu i popularyzacji wiedzy nowe możliwości. Zyczyć by trzeba, aby zarówno w kregach filmów stricte dydaktycznych, jak i popularno-naukowych, których kierunkiem są najrozmaitsze, nie brakowało indywidualności autorów. By nie brakowało odwagi dla eksperymentu, równie artystycznego, wówczas, gdy jest dla niego miejsce oraz dyscypliny i umiejętności podporządkowania, gdy świadomość celu je określa. Zyczyć by trzeba, by młodym, wchodzącym w progę Wytwórni dano kredyt zaufania, by praca w tej Wytwórni stała się aktem świadomego wyboru. Współczesna audiowizualna cywilizacja potrzebuje wielu utalentowanych ludzi, których umiejętność mówienia obrazem jest mądra, pogłębianą przez wiedzę profesyjną. Całemu Zespołowi Wytwórni Filmów, Oświatowych życzymy wielu sukcesów, dla nas będą one tym samym kolejnymi wykładami wiedzy o świecie dawnym i nowym, będą też przeżyciem emocjonalnym i estetycznym, bez którego również „sztuka użytkowa” nie istnieje.

EWA NURCZYŃSKA

FILM

CZYTANIE —RZECZ TRUDNA

Zachowany do dziś urok książki MICHAŁA CHOROMAŃSKIEGO „Zazdrość i medycyna” polega, w moim prywatnym przekonaniu, na niepewności. Ma ona swe źródło już w tym, że pisarz w zasadzie nie odkrył swych kart do końca, nie wiadomo, czy opowiedziany przez siebie dramat zazdrości traktował poważnie. Cała późniejsza jego twórczość utwierdza nas w przekonaniu, że poczucie humoru, groteski, absurdu wreszcie, było jego żywiołem. Z niego wyrosła ongi zapewne również „Zazdrość i medycyna”, co wcale nie znaczy, iż dramat Widmara, dla niego samego, nie był dramatem prawdziwym. Niepewność, której drugim imieniem może być niepokój, nasycę tę powieść po brzegi. Wprowadził go pisarz do swej opowieści, przyjmując misternie prowadzony, niepokojąco zawieszony tok narracji, która tak zachwycała współczesnych. Wprowadził go, „budując więciem” atmosferę, która jest już legendą tej książki. Niepewność wreszcie jest stanem duszy obu młotanych namiętnością panów, a także starego Golda, który chce być dobrym człowiekiem. Niepewność, czy może po prostu ciekawość w dwu trzecich książki towarzyszy czytelnikom, bowiem kobieta imieniem Rebeka u Choromańskiego długo jest tajemniczą. W filmie nie pomógł fakt, że JANUSZ MAJEWSKI, pisząc scenariusz, dosłownie prawdę o Rebecce przesunął na sam koniec swego filmu pt. „Zazdrość i medycyna”. W jego filmie już w pierwszym ujęciu wiadomo, kim jest Rebeka.

W tym na pozór marginalnym stwierdzeniu zawieram swój stosunek do dokonania Janusza Majewskiego. Pozbawił mnie tego, co jest do dziś urokiem powieści Michała Choromańskiego. Niepewność zastąpił dosłownością. Kokieterijna ucieczka w pastisz (jeśli przy dobrej woli uznamy ten film za pastisz) nie załatwił niczego. Tym bardziej, iż pastisz jest sztuką trudną — wymaga użycia piórka flaminga, a nie „flamastru”. Jeśli się robi pastisz, trzeba wiedzieć „po co” i „jak”. Powieść Choromańskiego zastąpiła przy obu tych sprawach niezłe pułapki. Jej fabularny wątek, dialogi i odautorskie uwagi o życiu, miłości i damsko-męskich układach mają przecież w sobie coś z przysłowiowej powieści dla kucharek, pozbawienie ich tak klimatu jak i psychologicznego i narracyjnego mistrzostwa, przysądanie zaś dosłowności musiało tamte cechy wydobyc na plan pierwszy. Majewski bał się tego lub po prostu tak tę książkę zobaczył, dlatego usiłował uciec w pastisz. Tylko po co? Lepiej było filmu nie robić, jeśli nie stało się, by zachować walory książki. Fabułę kiczowatych w dawnej i współczesnej literaturze polskiej jest przecież pod dostatkiem. Szydł dobrego pisarza jest pozornie tylko bezpieczny.

Janusz Majewski jest reżyserem znającym swój fach, decydując się więc na adaptację powieści Choromańskiego, postarał się zapewnić jej oprawę doskonałą. To, czego na pewno kwestionować nie można, to realia czasu i miejsca. Krajobraz, uliczki i domy Kryniey zastąpiły w powodzeniu nie istniejące już dziś dawne Zakopane. Pieczołowicie odtworzone wnętrza i kostiumy, zebrane rekwizyty, stare kino i dawne lokale — to w filmowej „Zazdrości i medycynie” zagrało. Paleta barw operatora WIESŁAWA ZDORTA wydobyla urok obrazów krynickiej jesieni, pełnej złota, brązu, ciemnej zieleni oraz agresywność strojów Rebeki. Obraz sam w sobie jest w tym filmie bardzo piękny. Rzecz zaczyna się psuć przy pierwszym podmuchu halnego. Wszechobecnym w powieści wiatr, który jest praprzyczyną dramatu Widmara, w filmie dmie na sknienie ręki reżysera. Dmie potężnie, lecz wcale nie znaczy to, co pisarz chciał, by znaczył. W książce na wiatr reaguje przyroda, a w niej ludzie. W filmie wiatr widzimy, lecz nie czujemy, bo tak naprawdę nie czują go bohaterowie, pozbawiono go zarówno medycznego i psychologicznego, jak i dramaturgicznego waloru. Jest po trosze śmieszny, tak jak i marionetkowi bohaterowie miłostnego trójkąta, jak śmieszny jest nawet krawiec Gold. Pomyłka reżysera polega na tym, że ludzi chciał potraktować żartobliwie, a wiatr bardzo serio, na planie zgrzytnięto to fałszem potężnym.

Janusz Majewski najwyraźniej czuł, że książki Choromańskiego ongi dawniej, ani dziś w jej warstwie fabularnej zbyt serio traktować nie można. Kazał więc aktorom euda czynić, by film nie stał się melodramatem. Przy wydatnej pomocy aktorów, a zwłaszcza MARIUSZA DMOCHOWSKIEGO żongluje śmiesznościami i groteskowością, ukazując nam raz po raz zza ekranu swą twarz reżysera-ironisty. Tylko po co? Ofiarą tych zabiegów padł również krawiec Gold, co jest już pomyłką oczywistą. Tym bardziej, że świetne aktorstwo WŁODZIMIERZA BORUNSKIEGO skłaniało do czegoś innego, że generalnie wątek Golda i jego dzieci odtworzone znakomicie, przywołując świat, którego już nie ma. Szkoda, że namiętność Widmara sprowadza się do sapania, przewracania oczyma i biegania po mieście z dwururką. Szkoda, że namiętność Tamtego sprowadza się do uwag o linii brzucha Rebeki, szkoda, że osobowość Rebeki wiadoma jest nam od początku.

Szkoda wreszcie, że czytanie polskich powieści przez polskich reżyserów jest dla nich rzeczą tak trudną. Pewne książki trzeba brać z całym bogactwem ich walorów, albo zdecydować się na pełną ich „antyinterpretację”. Wydaje mi się, że naprawdę, jeśli reżyser już tak chciał, pastiszem filmowa „zazdrość i medycyna” stałaby się wówczas, gdyby jej reżyser bardzo serio namiętności bohaterów potraktował — jakby to wówczas smakowały film. Janusz Majewski zaś albo rzeczy nie doczytał, albo chciał być lepszy od mistrza niepewności i niepokoju, bo nie jest prawdą, że kino skazane na obraz musi tym obrazem zabijać, co niedopowiedziane.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

BALLADY WOJENNE

Ostatni tydzień w telewizji upłynął pod znakiem obchodów XXX rocznicy Ludowego Wojska Polskiego. To zrozumiałe i słuszne. Transmisje z uroczystości, galowe koncerty, programy rozrywkowe, wspomnienia z przeszłości i zwykły dzień dzisiejszy — wszystko to przypomina nam bliskie i drogie sercu sprawy naszego wojska.

Chciałbym w tym miejscu zwrócić uwagę na te mniej oficjalne punkty telewizyjnego programu, na obraz wojska widziany oczyma ludzi sztuki. Wydaje mi się, że właśnie te pozycje, filmy Passendorfera, widowisko telewizyjne Jerzego Janickiego, słuchowisko Alojzego Srogi „Początek drogi — Lenin” — a więc dzieła sztuki mniejszego i większego formatu — najlepiej bo odwołując się do ludzkiej wrażliwości, przybliżają nam historyczne, chociaż nadal żywe problemy ludzi w zielonych mundurach.

„OSTATNIE DNI” Jerzego Passendorfera, druga, chociaż całkiem autonomiczna część filmu „KIERUNEK BERLIN”. Jakże prawdziwy jest ten obraz wojny w partiach, kiedy reżyser odchodzi od wielkiej batalistyki, a pokazuje jak w skupiającej soczewce losy pojedynczych żołnierzy. Jego kapral Naróg w żołnierskiej masie jest nijaki, szampowy, kiedy zaś wypuszcza się na łowy na hitlerowskiego snajpera, kiedy holuje jeńca do sztabu — widzimy, że jest to żołnierz prawdziwy. Czasami śmieszny, czasami wprost groteskowy, daleki od rysopisu nakreślonego wojskowymi regulaminami. A jednak żołnierz mądry, chłopską przebiegłością i wojennym doświadczeniem, a jednak odważny i nie szepczący krwi. Taki jest właśnie kapral Naróg, którego rolę mógł tak kapitalnie odtwożyć jedynie Wojciech Siemion.

Podobne założenie, już od początku do końca kameratealne, przyjął dla pokazania swoich bohaterów Jerzy Janicki w „BALLADACH WOJENNYCH”. Widowisko składa się z dwóch powiązanych tylko drugoplanowymi postaciami „nowel telewizyjnych”. Pierwsza to rzecz „O rybaku Karpiu Antonim” w roli tytułowej z Tadeuszem Fijewskim. Druga z Marianem Opanią „Jutro Grzesia imieniny”.

Pierwsza niestety sprawia zawód. Gdyby nie wytrwale aktorstwo Tadeusza Fijewskiego nie byłoby w ogóle o czym mówić. Wyrażając się z uznaniem o konwencji przyjętej przez autora, trudno się zgodzić na tak statyczny „monodram”, w którym aż się roi od pseudoludowych naiwności i literackiej, tandetnej faszyzacji.

Jakby nie ten autor napisał „Jutro Grzesia imieniny”. I na dodatek świetna rola Mariana Opani. Jego kapral Grzegorz Zientara spędza bezsenność nocą z Francuzem, niedawnym jeńcem obozu i SS-mannem, którego ma odprowadzić do sztabu. Grześ martwi się, bo nazajutrz są jego imieniny, pilnuje jeńca i telefonu, za oknem ryzy nie wydojona krowa, co tego chłopaka ze wsi boli szczególnie. Grześ nie może zasnąć, więc gada do Francuza i Niemca, którzy rozumieją tylko jego najprostsze gesty. Ale jak gada! I musimy mu wierzyć od początku do końca. I wierzymy w zakończenie. Żadnej literaturki, a więc literatura z prawdziwego zdarzenia. Reżyser Daniel Bargełowski dostrzegł tę szansę i nie z niej nie uронił. I jest to dla reżysera komplement duży.

Wróć jeszcze do tego, co powiedziałem na początku. Wojsko, wojna, żołnierskie bohaterstwo i codzienny trud żołnierski, można pokazywać na tysiąc i jeden sposobów. Najlepszy jest chyba ten, kiedy artysta, pisarz, filmowiec, malarz pochyla się nad nim najniżej. Wtedy nie przemawia w imieniu sprawy, ale po prostu mówi w swoim imieniu. I ma szansę mówić wtedy prawdziwie.

SEZAM

Wróćmy do codzienności.

Tak się jakoś ostatnio składa, że dość rzadko programy Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego wchodzi na antenę ogólnopolską. Może się mylę, bo nie prowadzę szczegółowej statystyki i w przeciwnym wypadku chętnie służę sprostowaniem. Póki co jednak, kilka słów o magazynie SEZAM, który staje się pozycją i ważną i coraz bardziej popularną.

Jerzy Binder i Iwona Śledzińska wprowadzają nas do sezamu najrozmaitszych spraw, spraw, które wiele krwi psują nam na co dzień, a których kulis zupełnie nie znamy. Wszyscy bowiem jesteśmy klientami, czy raczej tylko klientami. Binder i Śledzińska dopiero otwierają nam oczy, co, jak, dlaczego?

Sam nie wiem, bo to chyba kwestia odbioru indywidualnego: czy rozładowują naszą frustrację, czy jeszcze bardziej irytują przykładami różnego rodzaju balaganiarstwa, bezmyślności, braku odpowiedzialności itd. Mnie to osobiście pomaga. Jeśli się o czymś mówi publicznie, to zawsze coś musi z tego wynikać. Tym bardziej, że autorzy programu są uparci, zaczynają sprawę i chcą ją skończyć. I tylko pozostaje im życzyć wytrwałości w rozliczaniu tych wszystkich, którzy by chcieli mieć święty spokój.

I jeśli by można wyrazić jakieś życzenie pod adresem SEZAMU to brzmiałoby ono tak: bierzcie sobie mniej spraw na warsztat na jedno posiedzenie, a wrzyciecie się głębiej. O owcach w ostatnim programie było za mało, pomijając fakt, że nam ich brakuje 2 miliony. Nie tylko Iwona Śledzińska jest amatorem welnianych materiałów, kożuszków i szaszłyku z baraniny.

JAROSŁAW TARNO

TEATR

„SZEWCY” W ŁOŻACH

Od pewnego czasu (vide „Balkon” i „Ameryka” JERZY GRZEGORZEWSKI czerpie pomysły do swych przedstawień z architektury gmachów teatralnych, w których przyszło mu pracować w „SZEWCACH” S. I. WITKIEWICZA, ostatniej premierze Teatru im. S. Jaracza (23.IX.1973), Grzegorzewski wyzyskał — chyba jak dotąd najpełniej i najkonsekwentniej — możliwości tkwiące w naturalnej formie widowni i sceny. W tym wypadku miał, jak wiadomo, do dyspozycji secesyjną salę, obrzezoną po bokach łożami, wyniesionymi nad krzesła parteru do poziomu sceny. Stawiając na scenie po obu stronach identyczne łoże, Grzegorzewski w niezwykle prosty sposób usprawiedliwił — jeśli to jeszcze komuś potrzebne! — grę wśród widzów, a ponadto mógł przydzielić bohaterom — jak w antycznym lub średnio-wiecznym teatrze — stałe miejsca działań.

Tak więc terenem działania szewców jest wyłącznie podscenienie oraz kanał, który zbudowano w miejsce pierwszych rzędów widowni. Z podłogi sceny wystają tylko dwie ramy, przypominające okienka w suterenu. Są to zresztą jedyne (oprócz wspomnianych bocznych łoż) elementy wypełniające w I akcie scenę. W tych okienkach ukazują się na początku przedstawienia głowy szewców: w środkowym — Sajemana, w bocznym — czeladników. Później tej „hierarchii okien” nie przestrzega się tak ściśle. Po prostu nie jest to już potrzebne, ponieważ od momentu przybycia księżnej Iriny szewcy nie opuszczają prawie kanału. Zaś księżna, podobnie jak wcześniej prokurator Scurvey, pojawiła się w łożu (po stronie publiczności), a więc poza łożem szewców. Zrozumiałe, że po zwycięskim przewrocie Sajemana i czeladnicy zasiadają także w łożu (postawionej na środku sceny) a uwieczniony Scurvey znajduje się wówczas w kanale. Z kolei skompromitowani Sajemanczyce znikną w niewidocznych czelusiach sceny, a reprezentanci nowej władzy ukażą się na powrót w bocznych łożach.

Taka semantyka miejsc teatralnej gry może wydawać się nieco naiwna, lecz na szczęście w tym przedstawieniu nie banalizuje się. Jednakże wykraczając poza tradycyjną scenę Grzegorzewski, już zresztą nie po raz pierwszy, nie łączy się z podstawowym prawem każdego teatralnego widza: prawem do widoczności. Tym razem urok „Szewców” niedostępne są publiczności znajdujące się na balkonach i w ostatnich rzędach parteru. Lecz z takiego właśnie zagospodarowania przestrzeni wyniknęły interesujące zadania aktorskie. Oddalenie przedstawicieli poszczególnych klas społecznych wymagało od wykonawców zdynamiczowania innych form ekspresji, np. gestu, mimiki, intonacji. Warto też zwrócić uwagę na różnorodność „ogrywania” łoż. Pozostając teatralnymi łożami, spełniają zadania mównicze, stołu przydziałnego, postumentu itd. Ponadto tak charakterystyczna dla tego reżysera przewaga myślenia plastycznego chroni spektakl przed splaszczającą interpretacją. Można więc na przykład grupę kobiet i mężczyzn w odświętnej czerni oraz czarnym makijażu, wyłaniającym się równocześnie po kilkakroć na początku aktu I z drzwi łoż i zastających w teatralnych pozach uznać wprost za przedstawicieli bankrutowanego ideowo mieszczaństwa i arystokracji, ale można też przystać na pewną tajemniczość i metaforyczność tych postaci, a przede wszystkim — zapatrzyć się w ten pulsujący obraz, choć przeskądając on w słyszeniu pierwszych kwestii szewców.

Równie fascynująca, chociaż bez interpretacyjnych dwuznaczności, jest otwierająca trzeci akt scena zastuchania się szewców (i publiczności) „w dobrobytu wewnętrznym, w ten komfort bytowania swobodnego w swej własnej psychice”. Rozparci w łożu wylegantowani czeladnicy ze znużeniem wodzący smyczkami po strunach skrzypiec i kontrabas, podstawianych skwapliwie przez usłużnych muzyków tworzą malarską kompozycję o dosadnej wymowie. Jednak poza tą sceną aktowi trzeciemu zabrakło teatralnego dynamizmu. Niepotrzebnie celebrować się tu tekst Witkacego, nie przekonuje również scena „chocholego” tańca wokół „nie-ludzkiego babiszona”. Ze sceny, zwłaszcza pod koniec sztuki, sączy się nuda. Co prawda sam autor dramatu domagał się w didaskaliach kilkakrotnego pojawienia się na scenie tablicy z takim napisem, lecz powinien on wyrażać raczej nudę nekającą świat sceny, a nie widowni.

Reżyser Łódzkiej realizacji „Szewców” był na ogół wierny Witkacemu. Skreślił niewiele. Zrezygnował jedynie z niektórych polemik literackich oraz z poważnej części tych fragmentów wypowiedzi księżnej, które przypominały wykłady a la Wolna Wszechnica. Tekst, jaki Grzegorzewski pozostawił Irinie, sugeruje, iż mamy do czynienia z najczystszyim ekstraktem perwersji i kobiecości. Niestety grająca rolę księżnej ALINA KULIKÓWNA nie sprostała temu zadaniu. Zaledwie poprawna w akcie pierwszym, zagubiła się w następnych. Zbyt monotoni byli również ANDRZEJ JURCZAK i IRENEUSZ KASKIEWICZ, (czeladnicy), bardziej krwista, czasem dosłownie, postać zbudował SŁAWOMIR MISUREWICZ (Sajemana Tempe). W sposób pełen artystycznego namysłu skomponował swój epizod MAREK BARGEŁOWSKI (Fierdusienko), pogrążony przez cały wieczór w miarowym przeglądaniu pończoszek swojej pani.

Przykładając do przedstawienia miarę pomysłu inscenizatorskiego trzeba stwierdzić, że z wykonawców pozwalała się nią mierzyć tylko jeden z aktorów. Jest nim JERZY PRZYBYLSKI (Robert Scurvey). Na wyżyny mistrzostwa aktorskiego wznosił się on w rozmowie z Sajemaną w akcie drugim. Wydawałoby się, że w tej części wszystko spęrgło się przeciw J. Przybylskiemu — jego unieruchomienie w głębi sceny oraz jednostajne popijanie piwa i jedzenie ciastek. Tymczasem aktor dał tu popis inteligentnego podawania tekstu, akcentowanego jedynie wyrazistą mimiką i zabawnymi odgłosami przelanych pokarmów. Jakaż nuda w gruncie rzeczy, chociaż w zamysle zachwała wydaje się po tej scenie orgia miłostna, w której kochankowie dla urozmaicenia uciech ciała nurzają się w majonezie!

Niedojrzałość aktorska większości pozostałych wykonawców obniża, niestety, rangę tej już dziesiątej realizacji sceniczonej „Szewców”. Mimo tych słabości inscenizacja Grzegorzewskiego wnosi nowe, świeże i starannie przemyślane, a więc intelektualnie odpowiedzialne, spojrzenie na ten dramat Witkiewicza. Spektakl „Szewców” ujawnia raz jeszcze znamienne dla Jerzego Grzegorzewskiego cechy jego warsztatu. Jego upodobanie malarskie do szarości i bieli, muzyczne — do rytmiczowania działań aktorskich, wspieranych w momentach napięcia przez muzykę. Grzegorzewski znalazł kompozytora, z którym doskonale się porozumiewa. STANISŁAW RADWAN w muzyce o charakterze pastiszowym umiał wyrazić nie tylko charakter utworu Witkacego, ale i atmosferę przedstawienia.

ANNA KULIGOWSKA

POCZTA LITERACKA

Trafiały do mnie dwa numery czasopisma „PROBY POETYCKIE”, wydawanego przez „GRUPĘ MŁODYCH TWÓRCÓW” w Palacu Młodzieży im. Juliana Tuwima w Łodzi. Te odbite na powielaczu pisemka zaprzeczają pogłoskom o „śmierci poezji”, o braku zainteresowań literackich wśród młodzieży... Powie ktoś, że owa „Grupa Młodych Twórców” to zapewne garstka entuzjastów — a masy młodzieżowe nie czytają. Zgoda, ale przecież nawet sportu nie uprawiają „masy młodzieżowe” tylko określone grupy szczególnie uzdolnionych. Poezja — szerzej niż to zakreśla program szkolny — zajmują się także ci szczególnie wrażliwi czytani i ambitni.

„Próby poetyckie” są więc dokumentem sympatycznym. Ze wstępu dowiadujemy się, że młodzi entuzjaści literatury działają w Palacu Młodzieży od blisko czterech lat.

„Poezja — czytamy na wstępie — jest zaspokojeniem pragnienia piękna. Poezja uwarściwia na piękno i pozwala przeżyć wznioście uczucia (...). Wysiłek podjęty w celu napisania wiersza czy innego utworu literackiego — od znalezienia koncepcji aż do znalezienia oryginalnej formy artystycznego wyrazu — pozwala poznać trud twórczości i płynąć z radością z pracy twórczej...”

Wiersze zamieszczone w „Próbach poetyckich” świadczą o wrażliwości i kulturze literackiej. To bardzo wiele, choć oczywiście to nie wystarczy. Trochę mi brak w tych próbach jakiejś bardziej określonej indywidualności, wiersze są poprawne,

ale na dobrą sprawę nie różnią się od siebie. Majakowski wołał kiedyś o potrzebie poetów „dobrych i różnych”. Tej właśnie inności, różnorodności najbardziej brakuje mi w piśmie Palacu Młodzieży.

Mirosław Antezak pisze:

W opadającej kropki samotności zobaczyłem swoje odbicie

Przerwałem jej lot i na dłoni znalazłem perle

Boję się teraz że ktoś mi ją odbierze by zrobić z niej broszkę

Bardzo to ładne, powie-działbym — eleganckie literacko, ale jest to właśnie ta „broszka” — coś w rodzaju galanterii poetyckiej. Brak mi w tym wierszu jakiegoś napięcia, niepokoju... Jest

natomiast kultura literacka. Jeśli więc młody autor nie osiągnie nigdy sukcesów poetyckich — na pewno zostanie wrażliwym i krytycznym czytelnikiem poezji.

Podobnie i w wypadku innych prób. Oczywiście brak tu miejsca na szczegółowe analizy poszczególnych utworów młodych poetów. Zauważymy więc jeszcze wiersz Aleksandry Stepińskiej:

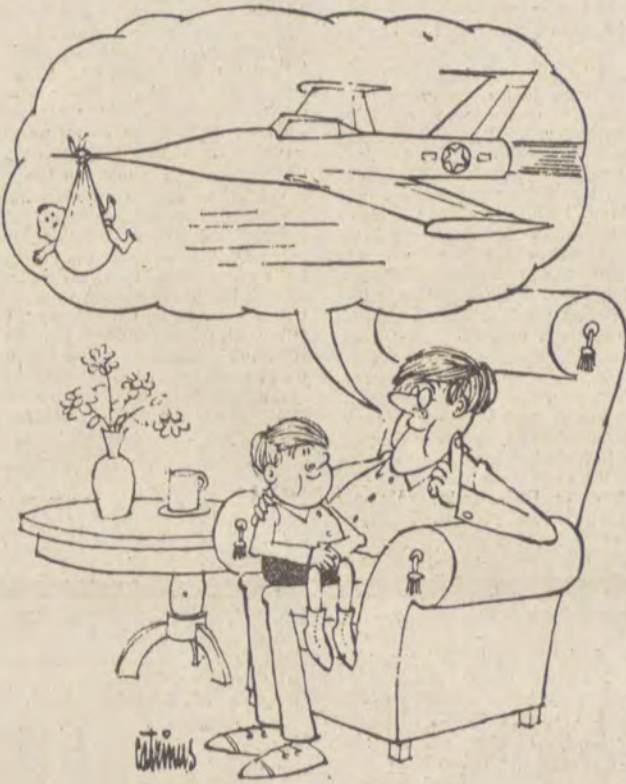
Obraz jak wiersz trzeba zrozumieć każdą w nim kreskę załamaniem

Ostrość na płótnie — klatwę w wierszu okrągłość głowy miłość pióra...

I znów — podobnie jak w pierwszym utworze — jest to wiersz poprawny, wymuskany, ale brak mu ognia, napięcia.

W sumie jednak wszystkie te próby są wielce sympatyczne, a inicjatywa Palacu Młodzieży godna uznania.

KRYTYK



ZAPOBIEGLIWI



ska kierownika biura w P. zajmuje osoba niezbyt godna zaufania. Nasz podejrzany miał więc pracować do 2 kwietnia i oczywiście po remanencie w magazynie zwolniony.

W toku czynności dochodzeniowych dokonano przeszukania w mieszkaniu Tadeusza S., gdzie znaleziono namiot, natomiast u jego brata odkryto... drugi bez mała magazyn sprzętu sportowego: namiot, szachy, materac dmuchany, 7 kocy, butle gazowe, kuchenkę gazową, drzesy, łóżko turystyczne. Dokonany w biurze remanent wykazał braki na sumę 17 tys. 296 zł.

Wobec oczywistych faktów Tadeusz S. zmienił swoje zeznania. Stwierdził on, że w końcu 1972 r. zauważył w magazynie braki na około 9 tys. zł. Przyznał się, co zresztą potwierdzili świadkowie, że wydawał sprzęt na ustne zapewnienie zwrotu. Przyznał się też, że ostatnio zadawał się z elementem przestępczym i nadużywał alkoholu. Dwa dni przed zgłoszeniem meldunku o włamaniu Tadeusz S. spotkał się na dworcu kolejowym z nieznanym mu osobnikiem, z którym następnie w restauracji „Hotelowa” wypił trzy czwartej wódki. Po wypiciu udali się razem do lokalu biura LZS, tam Tadeusz S. dał owemu człowiekowi rower i namiot, a następnie upozorował włamanie.

Sąd pierwszej instancji skazał Tadeusza S. na 16 roku pozbawienia wolności, a Sąd Wojewódzki biorąc pod uwagę fakt, że pokryto szkody oraz skrucie oskarżenia, złagodził wyrok do 1 roku pozbawienia wolności.

17 lat Tadeusz S. pracował w LZS, początkowo jako instruktor, wreszcie jako kierownik bu-

Słynna ostatnio w prasie, radio i telewizji story o pewnym działaczu sportowym w małym miasteczku pod Warszawą, który aby udowodnić wyższość kierowanej przez siebie drużyny piłkarskiej, użył wobec sędziego argumentów... bokserkich, nie poprawia wśród społeczeństwa opinii o ludziach zajmujących kierownicze, często społeczne funkcje w polskim sporcie i to na różnych szczeblach — od gminnego począwszy, a na centralnym skończywszy. Co i raz opinia publiczna wzbudzona jest różnego rodzaju sportowymi aferami, uczciwi działacze sportowi, których jest znaczna większość, wstydzą się przyznać, że pracują w sporcie, mniej odporni na drwiny żony, dzieci i sąsiadów po prostu rezygnują z działalności, powodując tym oczywistą stratę dla polskiego sportu. Dzieje się to właśnie przez takich ludzi, jak bohater dzisiejszego felietonu.

W poniedziałek 19 marca br. do Komendy Powiatowej MO w P. zgłosił się w godzinach rannych działacz tamtejszych LZS, kierownik biura Rady Powiatowej tej organizacji Tadeusz S., który poinformował funkcjonariuszy, że do podległego magazynu dokonano włamania, w wyniku którego skradziono rower wysiłkowy marki „Jaguar” wartości 3500 zł, oraz namiot dwuosobowy wartości 600 zł. Na miejscu włamania w chwili zgłoszenia go w Komendzie był już milicjant. Z uwaga obejrził miejsce przestępstwa i...

— Co pan nas bujasz, jakie to włamanie? — stwierdził wreszcie jeden z nich.

— Przecież deska oderwana jest od wewnętrznej strony magazynu...

— ...a ten kto to zrobił, znajdował się wewnątrz magazynu — dokończył drugi, zabierając się do pisania protokołu.

Tadeusz S. pobał. Sprawa była bardziej niż oczywista.

— Przepraszam — powiedział.

— Ja dwa dni temu rower i namiot wydałem dwóm kolarzom. Włamanie zgłosiłem tak dia żartu...

Zartować z władzy nie wolno i jest to pod groźbą kary zagrożone. Tadeusz S. został więc zatrzymany w areszcie, chociaż bardzo prosił, aby go na godzinę chociaż zwolniono, to on wszystko naprawił. Było już za późno.

Wezwani na przesłuchanie dwaj młodzi kolarze zaprzeczyli, żadnego roweru ani namiotu nie brali od Tadeusza S. Ciekawskie natomiast okazały się zeznania Józefa K., który lada dzień miał objąć po Tadeuszu S. stanowisko. Wojewódzkie władze LZS uznały bowiem, że stanowi-



ra. Przez cały ten okres czasu miał on — jako działacz sportowy — do czynienia z młodzieżą, tę młodzież wychowywał. Wychowywał ją człowiek, który jak wykazano w czasie dochodzenia kontaktował się z elementem przestępczym, nadużywał alkoholu w miejscu pracy. I to, a nie te kilkanaście tysięcy złotych jest właściwą stratą społeczną. A w ogóle warto wreszcie zastanowić się nad sposobem rekrutacji do grona działaczy sportowych, wykonujących tak ważną z punktu widzenia społecznego pracę. Jak do tej pory w większości wypadków decyduje, w tym względzie przypadek.

MIECZYSLAW STOLARSKI

POWIĘKSZENIA

AKWARIUMY

W „Expressie Ilustrowanym” przeczytaliśmy ogłoszenie: „Sprzedam akwarium”. Liczba mnoga od akwarium brzmi — jak wiadomo — akwaria. Wszelkiego rodzaju dziwolągi jak akwariury i pienuki są efektem nieuwważania na lekcji polskiego w szkole podstawowej.

Co prawda gazety zastrzegają się, że „za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności”, ale przecież ta formułka nie zwalnia od odpowiedzialności za rażące błędy językowe.

PROPOZYCJA DLA „LITERATURY”

„Literatura” zaczęła drukować powieść „Smak miłości i lez” — ramotę Walerii Sulimny. Rzecz tę od co najmniej trzech lat drukuje nieprzerwanie w odcinkach lubelska „Kamena”. Jeśli więc „Literatura” zdecydowała się na powtórkę (oczywiście bez podania pierwodruku), to my mamy dla warszawskiego tygodnika lepszą propozycję.

Otóż może „Literatura” wydrukować w odcinkach powieść „Okruh błękitu” amerykańskiej pisarki Elizabeth Kata. Powody są poważne. Powieść ta drukowana była w odcinkach

w „Odgłosach”, ponadto wyszła w wydaniu książkowym, a także zrobiono z niej film nadany ostatnio w telewizji. W tej sytuacji „Literatura” powinna co prędzej zdecydować się na powtórkę „Okruha błękitu”. Jak się wygłupić to już na całego!

TECHNIKA NA CO DZIEŃ

Pewien warszawski dziennik prowadził rubrykę „Z technika na co dzień”. Najnowszy odcinek tego naukowego serialu mówi o tym, że drzwi do windy otwiera się „specjalnym kluczem”, że dźwięk „składa się z kabiny, silnika elektrycznego i przeciwwagi” i tym podobne rewelacje...

Jako tematy do następnych odcinków proponujemy: zasa-

da działania śrubokrętu, konstrukcja zyspu na śmieci oraz

krótki kurs historii zamka typu „Yeti”.

KTO SIĘ TOCZY?

Dalszy ciąg relacji zwiedzającego Syberię Marka Flanowicza z „GR”.

„Kelnierka Lena, urodziwa, potężnie zbudowana sybiraczka toczyła się przez salę jak bilardowa kula”.

Wbrew pozorom nie jest to stylizowany karambol, lecz twórcze wykorzystanie metaforyki Adama Mickiewicza z „Pana Tadeusza”. Cytujemy opis Telmeny z I księgi poematu:

„Zrecnie między dwie ławy umiała się wtłoczyć

A potem między rzędem siedzących i stołem

Jak bilardowa kula toczyła się kołem...”

Ślady szkolnych lektur zostają na całe życie.

JEAN DUBUFFET

Jego retrospektywna wystawa zajmuje miejsce honorowe — sale paryskiego Grand Palais. Można tu oglądać dzieła jedyni najbardziej znanych artystów, ostatnio były to eksponowane obrazy Picassa, Matisse'a Chagalla i Legera.

Swoją karierę artystyczną, Jean Dubuffet, były handlarz winem, zaczął dość późno, bo mając lat 42, i to jako samouk. Jego debiut artystyczny początkowo wywołał oburzenie. Posyłały się gromy ze strony krytyki i widzów. Ale zachęcony przez Paulhana, Jean Dubuffet początkowo prymitywny i infantylny w swej sztuce szybko zaczął zdobywać sobie uznanie, sławę i pieniądze. W dalszej jego drodze twórczej utwierdził go pisarz Francis Ponge i wielki poeta Eluard. Dubuffet jak uzdolniony barbarzyńca, pozbawiony niemal zupełnie wykształcenia plastycznego, nie obeznany z tradycją, ale obdarzony wielką energią twórczą, opanowany chęcią odkrywania no-

wych rejonów twórczości, rzucił się z pasją w sztukę jak w niezwykłą przygodę. Do techniki malarstwa i rzeźby wprowadził piasek, szuter, asfalt i smołę, biel otowianą i miął węgielowy, szklana szlaka, farbę emalową, mastyks asfaltowy i gips. Na takim „murze” rysuje rylcem, nożem, paznokciem. Ciągłe poszukiwanie nowych dróg dla swych artystycznych wizji tworzy najdziwniejsze assamblage's, a od 1964 roku komponuje tak zwane przez niego Hourloupes, formy najczęściej przestrzenne.

Słowo „hourloupe” jest neologizmem Dubuffeta, a oznaczać ma według niego coś co jest w jego twórczości dziełem równocześnie zadziwiającym, niespodziewanym i zabawnym. W malarstwie Jean Dubuffeta począ-

kowo ekspresjonistycznym zaczęły się wpływy Rouaulta, a przede wszystkim, i to dominują do dziś, tendencje tzw. l'art brut, sztuki surowej, nieobrobionej, dziecięcej. Artysta od roku 1945 kolekcjonował przez wiele lat wytwory l'art brut. Co to za sztuka? Jakże to wytwory i dzieła, jeśli w ogóle można je nazwać dziełami. Są to najdziwniejsze obrazy, przedmioty i rysunki wykonywane przez ludzi w śnie hipnotycznym, dziwaczne lub prymitywne obrazy tworzone nawet przez umysłowo chorych. Według Dubuffeta rysunki i obrazy wykonywane przez dzieci nie należą ściśle do tego rodzaju kategorii dzieł. Dzieci bowiem starają się naśladować dorosłych, a Dubuffetowi chodzi o co innego. W swym teoretycznym dziełku twierdzi, że wszyscy mogą tworzyć dzieła sztuki, a zwykły debil więcej jest wart od zawodowych malarzy.

Kolekcja Dubuffeta przedmiotów l'art brut wystawiana była kilkakrotnie, ostatni zaś raz w Paryżu w Muzeum Sztuki Dekoratywnej w 1967 r. Później kolekcję tę ofiarował artysta miastu Lozannie w roku 1972.

Dzieła Dubuffeta początkowo naśladowane ekspresjonistów i wytwory l'art brut, nabierają z czasem swoistej oryginalności,

charakteryzują je mocne kolory, tendencja abstrakcyjna. Mówi się, że w jego twórczości przedmioty codziennego użytku wiodą niecodzienny żywot, meble wyglądem swym przypominają drzewa, podczas gdy drzewa przypominają postaci ludzi. Bryłowane, ciężkie wizje przedmiotów i ludzi mają w sobie coś z karykatury i coś ze światła psychopatycznych wizji i majaczeń. W jego pozorach abstrakcyjnych Hourloupech niektórzy dopatrują się wyrazu ludzkich twarzy, zazwyczaj znaczonych ciężkimi przeżyciami.

Jeanine Warnod pisząc o Dubuffecie w jednym z ostatnich numerów paryskiego „Figaro Littéraire” przedstawia artystę jako niewysokiego mężczyznę o żywych, jasnych niebieskich oczach i uśmiechu równie tajemniczym jak jego dzieła.

„To Jean Dubuffet właściciel willi Faibala” — dodaje Warnod. — Willa Faibala kosztowała mnie drogę — mówi artysta. — To luksus jaki sobie sprawiłem, osobiste domostwo, które samo sobie wystarcza i które będę stale odwiedzał — ten monumentalny Hourloupe”.

Paradoks polega jednak na tym, że owe domostwo nie jest i nie może być przez nikogo zamieszkałe z tego prostego powodu, że mieszkać w nim nie

sposób. Po co więc powstała willa Faibala? Jakim celem ma służyć? Gdzie została wzniesiona?

Jean Dubuffet mieszka w Pé-rigny. Jest to mała miejscowość oddalona od Paryża o godzinę drogi jazdy autem. Mieszka tu od roku 1970, w domu z którego okien rozciąga się wspaniały widok na winnice. Dom otacza park pełen roślinności, starych drzew i bujnie rosnących krzewów. Wokół budynku artysta postawił swoje rzeźby wykonane z tworzyw sztucznych, ceramiki i betonu. Budynek zawiera pokoje mieszkalne i gościnne oraz mieści dwie pracownie. W mniejszej projektuje swoje dzieła rzeźbiarskie i malarzkie. Projekt rzeźby wykonany z olbrzymich rozmiarów i wykonuje jego ostateczne malowanie.

Niedaleko większej pracowni wznosi się owa słynna willa Faibala, „mieszkanie nie do zamieszkania” — jak ją ktoś nazwał — eksperymentalna budowla, wielki Hourloupe. Dom ten rozciągający się na przestrzeni dwóch tysięcy metrów kwadratowych i mający osiem metrów

wysokości nie służy właściwie żadnym praktycznym celom. Budowla ma podłogę o nierównych poziomach. Podłoga ta jak i ściany pomalowane są w dziwaczne wzory geometryczne, a wszelkie powierzchnie dają złudzenie ruszania się i falowania. Nie ma tu żadnego kąta prostego, powierzchnie są wypukłe lub wklęsłe, uderza zupełny brak symetrii. Dubuffet nie lubi bowiem tych kłosek prostopadłościennych czy sześciennych w jakich wszyscy mieszkamy. Czy ta dziwaczna budowla jest całkiem bezużyteczna? Nie, twierdzi Dubuffet, chętnie pokazujący willę Faibala swym gościom. Tu architekci mogą czerpać natchnienie dla nowoczesnych rozwiązań.

Jean Dubuffet, wróg tradycyjnego i umownego pojęcia piękna w sztuce, uparty eksperymen-tator pisał kiedyś: „Przekonanie, że istnieją piękne i brzydkie przedmioty, piękni i niepiękni ludzie, z całą pewnością nie ma żadnej podstawy poza umownością. To stara bzdura, ja zaś każda konwencja uważam za niezdrową. Piękno jakiegokolwiek przedmiotu zależy od tego jak go widzimy, a bynajmniej nie od jego poprawnych proporcji”.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

TEN PASKUDNY PRZYBYSZEWSKI

Tyle się bzdur wypisuje na temat literatury, że pewno bym wrzucił tylko ramionami na barki pana Bajerowicza z nowo powstałego magazynu poznańskiego „Tydzień”. Ale „Tydzień” ma nakład — jak się zdaje — wielotysięczny. Poza tym pan Bajerowicz, którego nazwisko i dokonania twórcze na niwie publicystyki są dla mnie raczej niejasne — prezentuje dość bokserki stosunek do literatury. Jest to poza tym stosunek często spotykany wśród twórców.

Oto, co pisze pan Bajerowicz przy okazji książki Ewy Kossak na temat Stanisława Przybyszewskiego: „grafoman, a przy tym alkoholik, komediant i kłamca”. Przyjmijmy nawet, że informacje pana Bajerowicza o pisarzu, który wywarł ogromny wpływ na literaturę Europy początków wieku są w trzech czwartych prawdziwe... Co jednak z tego wynika?

Metodologia literacka pana Bajerowicza ma rodowód z magla. Przybyszewski jest w lite-

raturze postacią kontrowersyjną i większą część jego dorobku dziś jest raczej mało czytelną. To prawda — ale prawdą jest również i to, że Przybyszewski w literaturze polskiej funkcjonuje jako wcale nie ostatnia postać. Dobijanie go epitetami przypomina babskie biadanie nad wymyślanymi orgiami w „Zielonym Baloniku”.

Nie chodzi tu zresztą o historię. Ocena twórczości przez dziurkę od klucza zawsze była domeną różnych Bajerowiczów. Wczoraj, dziś i — zapewne — jutro. Ale jaki — przepraszam — związek z twórczością Wyspiańskiego może mieć fakt, że umarł on na syfilis? Jaki związek z pięknymi wierszami Franciszka Villona, jednego z największych poetów francuskich, może mieć fakt, że zamordował on człowieka i został skazany na śmierć?

Jaki związek z twórczością Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Tadeusza Boya-Zeleńskiego może mieć taki choćby liścik:

„Pecha masz z tym twoim szankrem, że się tak ostro objawia — ja od chwili złapania nie czuję, że go mam”. (cyt. Boy — „Listy” str. 23, Wyd. Literackie, 1972). Czy fakt, że Sokrates czy Szekspir lubili młodych chłopców w jakikolwiek sposób zmienia ich miejsce w historii światowej kultury? Czy fakt, że Stanisław Brzozowski, jeden z najwybitniejszych umysłów polskiej krytyki literackiej był — co raczej niewątpliwe — agentem carskiej ochrony, przekreśla w jakiś sposób ten ogromny dorobek twórcy?

Wiem, że może kogoś dotknąć brutalność tych pytań, ale wywołuje ona brutalną bezmyślność poznańskiego publicysty. Zwłaszcza, że nie jest to odosobniony przypadek, ale pewien styl oceniania sztuki, panoszący się w krytyce i nie tylko w krytyce.

Daleki jestem od twierdzenia, że artysta jest poza czy ponad normami moralnymi obowiązującymi w społeczeństwie. Ale gdy mowa o twórczości nie mają sensu plotkarskie dywagacje na temat z kim śpi lub co pije twórca. Dopóki żyje, te sprawy mogą obchodzić jego najbliższych — kiedy nie żyje — nie powinny obchodzić nikogo, a już najmniej publicystów z kolorowych magazynów.

Poza tym pan Bajerowicz się ośmieszka, kiedy mlotając obelgi na Przybyszewskiego przywołuje dla przeciwwagi nazwiska — właśnie Wyspiańskiego, właśnie Brzozowskiego, właśnie Boya... Bo przecież wiemy, że w stosownej chwili tą samą metodą może pan Bajerowicz załatwić każdego, lub prawie każdego

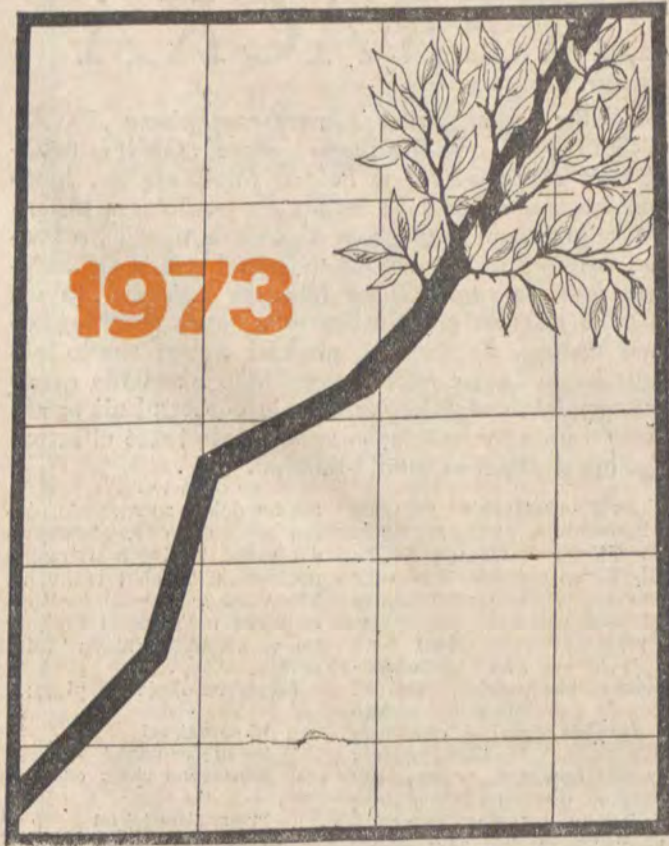
artystę. Nikt normalny bowiem nie uклада słów do rymu, nie spisuje historii, które się nie wydarzyły, nie wodzi pedzłem po płótnie, nie medytuje nad zagadką bytu... Każdy artysta nosi w sobie jakieś odchylenie od normy, które jest jednocześnie jego błogosławieństwem jako artysty i przekleństwem jako człowieka. I każdego artystę można metodą pana Bajerowicza ocenić brutalnie i surowo.

Dla poznańskiego Katona mam, jakże niepełną, listę tych którzy nie mieszczą się w jego grzesznych normach. Alkoholicy — E. A. Poe, Jack London, Jarosław Hasek, Scott Fitzgerald, Sergiusz Jesienin, Paul Verlaine... Choroby umysłowe trapiły: Fryderyka Nietzschego, Marcela Prousta... Narkomanem był Charles Baudelaire, samobójstwo popełnili Majakowski i Hemingway... Zgola margines moralny! Mogę sobie doskonale wyobrazić światową kulturę bez pana Bajerowicza — bez tych nazwisk jednak wyobrazić sobie jej nie sposób.

Wiem, że nie pan Bajerowicz wymyślił ów styl, jest on za ledwie miernym kontynuatorem. Diabli mnie jednak biorą że można tu tam tysiącom czytelników wmawiać na łamach kolorowego magazynu, że filisterska „solidność” jest kategorią oceny artystycznej. Gdyby tak się kiedyś stało, historia sztuki zmieściłaby się w broszurce objętości „Notatnika prelegenta”.

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



WIDOK

JA W PALĄCEJ SPRAWIE

Do gabinetu dyrektora, trapiącego się akurat kłopotami z realizacją ważnego, zagranicznego zamówienia, wpada zdyszany młody człowiek.

— Pan w jakiej sprawie? — pyta dyrektor.

— Ja w palącej sprawie! Nie cierpię zwłok!

— Co się stało? — pyta zaniepokojony dyrektor, wyobrażając sobie nie wiem już jakie kłopoty. A tego mu akurat najbardziej potrzeba. Jakby nie miał ich dość.

— Szeffe! Srubek zabrakło! Nie mamy co robić.

Historię tę opowiedział mi znajomy dyrektor. A było to na imieninach u Franciszka. Imienninowe „bankiety” stały się dziś interesującą formą życia publicznego. Można tu spotkać ludzi różnych zawodów i różnych środowisk. Można dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy. Na imienninowych „bankietach” toczą

się nieraz dyskusje, jakich ze świecą szukać po zebraniach i naradach. Ludzie skaczą sobie do oczu, zażarcie bronią swoich racji, argumentują logicznie i przekonująco. Ale bywa też i tak, że bractwo spije się solidnie i odstawia festiwal piosenek w Opolu lub Sopocie. I wtedy wylazi na wierzch prawda, że Polacy, to, naród rozspiewany, ale bardzo niezgrany. Raz tylko udało mi się słyszeć harmonijnie śpiewający chór na imienninowej uroczystości.

Na imieninach u Ludwika postyżalem ładny dowcip. Wraca z urlopu dyrektor. Przychodzi do pracy i wola sekretarkę.

— Jest coś ciekawego? — pyta.

— Tak, tylko nie wiem, czy to jest takie ciekawe — odpowiada dziewczę hoże, a urodzone.

— A dobre to wieści, czy złe? — pyta dalej dyrektor.

— Jedna jest dobra, druga zła, od której zacząć?

— Niech będzie od tej złej — ryzykuje dyrektor.

— Jest pan z dniem dzisiejszym odwołany ze swego stanowiska.

— Dziewczyno, i to ma być zła wiadomość. Nie ma czym się martwić. Bez pracy nie zostanie. Dostanę drugą. Może spokojniejszą. A teraz, ta druga wiadomość, dobra.

— Pani dyrektorze, będziemy mieli dzidziusia!

To, co kupilem na imieninach u Ludwika, sprzedałem znajomemu dyrektorowi na imieninach u Edwarda. Ale on się nie śmiał. Popatrzył na mnie jakos tak dziwnie, że nie wiedziałem, czy jego też odwołują ze stanowiska, czy może będzie miał dzidziusia z sekretarką. Z drugiej strony znam akurat jego sekretarkę. Jest to siła fachowa, ale mieć z nią dzidziusia byłoby niepodobniństwem. Zresztą, o ile się orientuję, nie do tego celu przeznaczone są na ogół sekretarki.

Aby więc rozzerwać mego znajomego i spędzić chmurę trosk z czoła, opowiedziałem mu historię ze sznurkiem. Historia, jak historia, też kupi-

łem ją na jakiejś uroczystości, ale już nie pamiętam na jakiej. A historia jest taka.

Było sobie dwóch zdolnych facetów. Postanowili zrobić różne wynalazki. Mieli takie hobby. Ich sprawa. Uwierzyli, że u nas coraz bardziej liczą się szare komórki, a także, że myśl techniczna trzeba rozwijać ze wszelkim miar. I rozwijali. Wymyślili sznurek.

Kiedy to opowiadałem, dyrektor się uśmiechnął. Myślał, że ja bujam. Ale oni naprawdę wymyślili sznurek. Zaraz wyjaśnię, na czym rzecz polega.

Ten sznurek był z tworzywa. Tańszy od innych. Fabryka, która wzięła go do produkcji, zarobiła w ciągu roku około 5 milionów złotych. Facetom zapłaciła 100 tys. zł. Ale oni wylczyli sobie, że powinni dostać — powiedzmy — 150 tys. zł. I zaczęła się kolomyjka. Spór o te 50 tys. zł.

Dyrektor się już nie uśmiechnął. Pokiwał głową i powiedział:

— Bywa.

A teraz ja. W palącej sprawie, jeśli już mają być palące

sprawy. A taką palącą sprawą dla mnie jest — czas. Poznanie czasu cudzego i własnego. Ziemia nieubłaganie kreśli się wokół Słońca, godziną mija za godziną, dzień za dniem i tak dalej, a my marnotrawimy czas. Osobiście mam wątpliwości, co ze spolecznego punktu widzenia jest bardziej warte: 50 tys. zł, czy dwa facetów, którzy uparli się coś nowego wykombinować i już mają dwa, dalsze pomysły. Podejrzewam jednak, że będziemy musieli na nie trochę poczekać, bo owi facetki, będą tracili czas na dochodzenie swoich a może tylko wyimaginowanych 50 tys. zł.

Gdyby to zależało ode mnie, to dał bym im te 50 tys. — nawet gdybym nie był do końca przekonany, czy im się należą — i kazał bym im szybko siadać do dalszej pracy. Myślę, że to nam by się opłaciło. Ale wiem. Przepisy. Jestem przeciwny zasadzie, która głosi, że przepisy są po to, aby je obchodzić. Nie tędy

droga. Jeśli przepisy są złe, jeśli rozmiągają się z życiem, z praktyką, to trzeba zmieniać przepisy, dostosowywać je do życia. Ktoś mądry odkrył nie tak dawno, że przepisy są po to, aby ułatwić życie, aby pomagały w regulowaniu wielu spraw. Jest to odkrycie na miarę epoki, bo nam wszystkim już się wydawało, że one są po to, aby utrudniać życie.

Jak się okazuje — palących spraw jest sporo, choć pojęcie, modne przed laty już się zdewaluowało i dziś używane jest przez dowcipnych ludzi, jako stylizowana ciekawostka. Ale ja naprawdę w palącej sprawie: ludzie! Szanujmy nasz czas! Wykorzystujmy go z pożytkiem dla nas wszystkich, nie odkładajmy nie na później, bo później może być za późno.

I myślicie, że mnie postuchają?

RODAK

PRZECIEŻNIEJŚĆ

ZAPOMNIANI LUDZIE

Biografistyka jest u nas jedną z najbardziej popularnych form pisarstwa historycznego i trudno się temu dziwić: cieszy się znacznym zainteresowaniem ze strony czytelników, lubią ją wydawcy, chętnie do tej formy wypowiedzi sięgają autorzy. Osobliwością jednak naszego piarstwa biograficznego jest, że bardzo często, na pewno zbyt często, dotyczy ono wciąż tego samego kręgu osób — zresztą, to dobrze znanych, które mają już swoje wcześniejsze opracowania biograficzne, znacznie zaś rzadziej sięgają po nowe postacie, choćby znane, takie jednak, które nie docekały się jeszcze po-

dobnego ujęcia, a także dziś już zapomniane, które zasługiwały na przypomnienie. Ile to ważnych postaci z naszych dziejów nie docekało się jeszcze biograficznego opracowania, jeżeli nie liczyć krótkich haseł w wydawnictwach słownikowych — encyklopedycznych? Jak przedstawia się biografistyka naszego ruchu robotniczego? A innych nurtów społeczno-politycznych? Luki są tutaj ogromne, zwłaszcza ci się tyczą dziejów nowszych i najnowszych. Pod tym względem jesteśmy jeszcze bardzo w tyle — za innymi krajami, choć mamy już sygnały, że ta niekorzystna sytuacja powoli po-

czynna ulegać zmianie. Przygotowane zostały obszernie opracowania biograficzne dotyczące niektórych przywódców politycznych okresu międzywojennego, podobnie w toku są prace nad biografiami wybitnych działaczy polskiej lewicy.

Istnieje jednak wazka dziedzina, w której niedosyt opracowań biograficznych jest szczególnie dotkliwy i — powiedzieć to od razu — szczególnie trudny do uzupełnienia. Myślę o biografiach osób zapomnianych, które wniosły cenny wkład do naszych dziejów, zapomnianych zaś dlatego, że losy rzuciły je w różne strony naszego globu, częstokroć bardzo daleko od granic Polski. Myślę nie tylko o ludziach Wielkiej Emigracji po powstaniu listopadowym, ale o tych wszystkich Polakach, którym przypadło pracować w różnych krajach, którzy jednak nie zapomnieli swego kraju, czuli się z nim związani, i mieli świadomość, że pracują dla niego. Na pewno dobrze, że przed laty ukazał się u nas słownik biograficzny działaczy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, szkoda tylko, że zawiera on aż tyle błędów, dobrze, że redakcja monumental-

nego „Polskiego Słownika Biograficznego” troszczy się o hasła dotyczące Polaków, którzy żyli i działali poza krajem. W niewielkiej jednak mierze zmienia to stan rzeczy...

Przykładem, jak inaczej od „tradycyjnych” biografii powstaje biograficzne opracowanie jednego z wybitnych Polaków, którzy działali przed stułeciem poza granicami Polski, są dzieje powstania książki Władysława Chojackiego pt.: „Krystyn Lach Szyrma — syn ziemi mazurskiej”, opublikowanej niedawno (1971), faktycznie rzecz ukażala się w 1972) przez wydawnictwo „Pojezierze”. Książka narodziła się z... Konkursu Polskiego Radia dla słuchaczy zagranicznych, ogłoszonego w 1966 r. Pierwszą nagrodę zdobył wówczas młody Anglik Francis Lach Szyrma, „który bezbłędnie odpowiedział na wszystkie pytania”, który od sześciu lat uczestniczył w podobnych konkursach. Młody człowiek dowiedział się o swoich ciocięcych babek, że... jest pochodzenia polskiego, nikt jednak w jego rodzinie nie mówił po polsku. Nawiazane z Anglikiem stosunki pozwoliły wreszcie ustalić, że jest

on w prostej linii potomkiem wybitnego działacza polskiej emigracji po powstaniu listopadowym w Anglii, Krystyna Lacha Szyrmy, niegdyś profesora filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, powstańczego pułkownika, człowieka który odegrał ważną rolę w rozwoju polsko-angielskich stosunków kulturalnych w ubiegłym stuleciu. Znaczna część materiałów, wykorzystanych przy opracowywaniu książki, pochodziła ze zbiorów angielskich potomków polskiego działacza i uczonego, do których ujawnienia przyczynił się fakt uczestnictwa jednego z nich w polskim radiowym konkursie.

Wiele jeszcze, bardzo wiele materiałów do dziejów życia i działalności wybitnych Polaków z dalszej i bliższej przeszłości, czeka na swe odkrycie w zagranicznych zbiorach publicznych i prywatnych. Przecież faktycznie nie zostały opracowane nawet te papiery, które po J.U. Niemcewiewu pozostały u potomków jego amerykańskiej żony, w których listy wybitnego pisarza liczą się na dziesiątki, jeżeli nie więcej. Bardzo wiele można dziś odnaleźć w zbiorach paryskiej Biblioteki Polskiej. Za-

nim zabrałem się do pisania tego felietonu wertowałem stos fotokopii odpisów, zrobionych niedawno w Paryżu, a dotyczących bardzo interesującej postaci Jakuba Malinowskiego (1808—1897), chemika i geologa, przyrodnika, językoznawcy, historyka, nauczyciela języków, wreszcie poety i pisarza, który działał w Dijon, Semur, Alès, Cahors, opublikował ponad sto prac z różnych dziedzin, a któremu jak dotąd poświęcono... zaledwie jeden artykuł. Czytałem jego wiersze, zapewne nie należące do szczytów polskiej poezji romantycznej, ale jakże wymowne, ujęte w cykl zatytułowany „Nowe Dziady”; kto zresztą wtedy nie pisał wierszy? Takich i podobnych postaci jest znacznie więcej — zapomnianych zasłużonych, których dobrze byłoby przypomnieć. Wydaje się to szczególnie ważne w perspektywie zmieniających się na korzyść naszych stosunków z Polonią we wszystkich stronach świata.

LEKTOR